

DUŻYFORMAT



RYS. IGOR MORSKI

Aleksandra Pakieła sprawdza czarny rynek psychotropów

AAA KUPIĘ LEK

Benzorekreacja. Czarny rynek psychotropów

KUPIĘ „okulary 80 dioptrii”

Jeden klik dzielił mnie od zakupu różnego rodzaju psychotropów, morfiny czy fentanylu, który można śmiertelnie przedawkować już przy pierwszym użyciu

Wojtek ma 35 lat, kocha literaturę i zapach antykwariatów. Prowadzi zajęcia dla studentów. Jacek jest 30-letnim copywriterem. Obsługuje kilka dużych firm – kreuje kampanie, ustawia targetowane reklamy. O social mediach wie wszystko. Zwiedził kilkanaście krajów i ma apetyt na więcej. 18-letni Kamil w maju zdał maturę. Zbiera komiksy mangi. Chodzi na spacer z ukochanym psem – Kapiszonem. Zwłaszcza wtedy, gdy tata Kamila wraca do domu po kilku głębszych. Co ich łączy? Wojtek, Jacek i Kamil eksperymentują z lekami.

LEK NA CAŁE ZŁO?

Czasem z nudów. Czasem, bo gonią deadline'y.

Wojtek najczęściej bierze krople T*** – syntetyczny lek opioidowy, żeby – jak mówi – odpocząć od świata zewnętrznego.

Jacek, gdy nie wyrabia się z pracą, łyka M*** – lek stosowany w leczeniu ADHD. Potrafi pracować po nim dzień i noc.

Kamil nazywa siebie toksykomaniakiem. W szufladzie biurka trzyma różne tabletki. Mówi, że kolekcjonuje je, tak jak kiedyś pokemony. Ostatnio zmieszal saszetkę przeciwzapalnego leku do pochwowego z sokiem pomarańczowym i wypił. Był na fapie kilka godzin. Kolejne kilka cierpiał na kaca i ból gałek ocznych. Zapowiada jednak, że ekspery-

ment powtórzy – tym razem planuje dodać do drinka także alkohol.

Biorą też leki na padaczkę, depresję i zaburzenia lękowe. Leki nootropowe – poprawiające koncentrację. Leki z kodeiną, syropy na kaszel z dekstrometorfanem.

Pozamedyczne użytkowanie leków uważają za bezpieczniejsze od narkotyków dostępnych na ulicy. Przynajmniej wiedzą, co w nich jest.

WOJTEK: PORADZIĆ SOBIE Z NIEPOKOJEM

– Nigdy nie paliłem marihuany. Nie brałem żadnych narkotyków. Nie piję alkoholu. Moje życie nie jest szczególnie fascynujące – zajmuję się literaturą, szeroko pojętą sztuką, wykładam na uczelni – zaczyna. – W moim przedpokoju wisi czerwony koszyk rowerowy. Trzymam tam kolekcję leków, które nie są mi potrzebne, ale wiem, jak je stosować, żeby wywołały odpowiednie efekty. I czasem z tego korzystam.

Wojtek opowiada, że jego dziadek był biochemikiem. Dzielił się z wnukiem wiedzą o łączeniu substancji w trutki i odtrutki. Mając osiem lat, Wojtek wiedział już, czym jest drabina analgetyczna. Mniej więcej w tym samym czasie jego mama, lekarka, pokazywała mu, jak wypisuje się recepty. – Mama i dziadek angażowali się w przeciwdziałanie narkomanii. Mówili mi, że już lepiej wziąć w celach rekreacyjnych substancję, która jest zbadana i ma antidotum. O której można poczytać w internecie i dowiedzieć się, jak ją dawkować, jakie ma skutki uboczne, jaka jej ilość może źle zadziałać. No i z czym tej substancji nie można łączyć.

Z tej wiedzy zaczął korzystać, gdy miał dwadzieścia parę lat i zdiagnozowano u niego zaburzenia lękowo-depresyjne. Mówi, że miał wystarczającą wiedzę medyczną, by wiedzieć, czego chce, i dostać od lekarza receptę na konkretny lek.

– Czytałem o dawkach uzależniających, o tym, jak jeden z leków psychotropowych z gatunku benzodiazepin o silnym działaniu przeciwłękowym i uspokajającym łączy się z drugim, jakie są objawy sugerujące wchodzenie w uzależnienie...

Jak wspomina, gdy nie było elektronicznego systemu, lekarze bez problemu wypisywali mocno uzależniające benzodiazepiny. Opisał to w 2014 r. Juliusz Strachota w głośnym reportażu w „Dużym Formacie” („Doctor shopping. Jak obsługiwano polskiego ćpuna”) i w książce „Relaks amerykański”.

Po przetestowaniu benzodiazepin przyszedł mu apetyt na lek będący pochodną kwasu gamma-aminomasłowego. Wojtek mówi, że w dawkach sześciokrotnych daje silne pobudzenie. Potem na specyfiki z drabiny analgetycznej – pochodne morfiny. Lekki z winianem zolpidemu, kodeiną, oksykodonem, neuroleptyki na porażenie mózgowe. Wszystkie je ma w koszyku.

– Z***, czyli lek nasenny, nauczył mnie przedawkowywać mój były psychiatra. Mówił, jak go zażywać, żeby nie zasypiać, tylko mieć „działanie z odbicia”, czyli lekkie pobudzenie i błogość. Lek dostarczał mi znajomy farmaceuta. Inna opcja na zakup? Można poczytać sobie o konkretnych przypadkach medycznych – kryteriach rozpoznania, stosowanych lekach... I odegrać u lekarza swoją rolę.

Można też znaleźć w internecie lekarza na telefon. Według Wojtka to banalnie proste.

– Mama sama na studiach eksperymentowała z lekami. Wie o tym, co robię, i choć teraz jest temu przeciwna, czasem wypisuje mi T*** – krople syntetycznego leku opioidowego. Dzwoniłem do niej, gdy po tych kroplach rozplakałem się jak dziecko, bo głęboko zachwyciłem się pięknym bananem. Mama wie też, że jestem rozsądny: nie bawię się w ten sposób częściej niż raz na kwartał. Nigdy nie doprowadziłem się do psychodelicznej sytuacji. Nigdy nie biorę, gdy mam zły nastrój. Zażywam leki zawsze sam w domu, żeby swoim zmienionym nastrojem i gadatliwością nie obciążać innych.



Pytam, dlaczego w ogóle zaczął eksperymentować z lekami. – Całe życie mam problem ze stabilnością nastroju, natłokiem myśli, zapomnianiem o prostych czynnościach. Nie umiem odpoczywać. Chyba potrzebowałem poradzić sobie jakoś z niepokojem i dużą niechęcią do samego siebie.

Już gdy był w przedszkolu, zasugerowano jego mamie, że może on mieć ADHD. – Zostało to zbagatelizowane. Dopiero niedawno poprosiłem psychiatrę o wykonanie testu. Wyszedł pozytywny.

Wojtek przyznaje, że przez całe życie jego funkcjonowanie w społeczeństwie jest zaburzone. Po diagnozie i przepisaniu leków czuje się z sobą lepiej. – Psychiatra, który zdiagnozował u mnie ADHD, powiedział mi o zagrożeniach wynikających z łączenia przepisanego mi leku z innymi substancjami psychotropowymi, więc odpuściłem eksperymenty. Do pewnego stopnia. Gdy chcę zarzucić krople albo coś innego – robię sobie przerwę od leku na ADHD.

JACEK: SZUKAM NOWYCH BODŹCÓW

– Pracuję dużo, czasem po kilkanaście godzin dziennie – opowiada. – Lubię pieniądze. Pozwalają mi podróżować, jeść w dobrych knajpach, kupować markowe ciuchy. Teraz wkręciłem się w sport, więc duża część mojej pensji idzie na różne gadzety do biegania. Miesiąc temu udało mi się wreszcie rzucić palenie. Nie chciałem być niewolnikiem wychodzenia co chwila na fajkę. Poza tym – staram się prowadzić aktywny tryb życia, nie chcę rozwalić sobie płuc. Ciągle szukam nowych bodźców, czegoś, co będzie mnie nakręcać, sprawiać, że czuję, że żyję.

Brałem kokainę, amfetaminę, mefedron. MDMA, ecstasy, LSD, marihuanę. Ale też substancje, któ-

ALEKSANDRA
PAKIELA





rych pochodzenia nie znałem, więc równie dobrze mogło to być tłuczone szkło albo proszek do prania. No i leki na receptę. Wiem, że łatwo się uzależniam. Jestem już uzależniony od kofeiny – piję kilka kaw dziennie.

Jacek pracuje na freelansie. Ma kilku stałych klientów, ale często bierze dodatkowe zlecenia. Wtedy pracuje po kilkanaście godzin dziennie, nie wychodzi z domu. – Wcześniej pracowałem w agencji. To był imprezowy czas, więc brałem różne substancje, żeby na kacu postawić się na nogi.

Z kolei w czasie lockdownu chodził po ścianach, bo nie potrafił sobie zapelnąć czasu wolnego. Więc brał zlecenia za zleceniem. – A ponieważ nie lubię zawałać terminów, żeby być bardziej skupionym i produktywnym, musiałem czasem sobie pomóc.

Zaczął brać lek na ADHD. Dostał go od koleżanki. Pierwszy raz nie należał do udanych. Lek dostał w dwóch postaciach – tabletki i kapsułki. Tabletki mocno „kopie” i działa szybko, ale równie szybko schodzi. Kapsułki ma przedłużone uwalnianie, więc utrzymuje podwyższony poziom substancji we krwi. Wziął kapsułkę i tabletkę i usiadł do pracy.

– Po 40 minutach zacząłem się mocno pocić, wpadać w paranoję i być nadaktywny. Czuję ogromny, irracjonalny lęk. Mówiłem sam do siebie, chodząc w kółko po pokoju. Udało mi się uspokoić – usiadłem na kanapie, obejrzałem wesoły serial, który znałem na pamięć, zamówiłem pizzę. Tłumaczyłem sobie, że to tylko chemia, że to minie.

Następnego dnia koleżanka powiedziała mi, że – aby brać tabletki i kapsułki rekreacyjnie – należy wziąć też lek, który zablokuje potencjalne stany lękowe. Gdy przez kilka kolejnych dni zażywał taki pakiet – lęki rzeczywiście się skończyły.

Przepracował na tym leku kilka dni. Potem tolerancja na niego wzrosła i nie miało to już sensu.

– W pracy kreatywnej łatwo o wypalenie zawodowe. A co, jeśli nie możesz sobie na to pozwolić? Potrzebuję kopa, a żadna substancja nie jest tego w stanie dawać non stop. Wiem to, bo przeszedłem przez wszystkie inne stymulanty.

Dlaczego leki? Jacek mówi, że są łatwiej dostępne i tańsze niż narkotyki uliczne. – Są też chyba bezpieczniejsze – bo nie masz gwarancji, co znajduje się w kupionej na ulicy pigułce czy proszku. Kilka razy wciągałem amfetaminę, myśląc, że wciągam koks.

Jacek kocha pracować. Może się w tym zatracić, poświęcić w pełni. – Wiem też, że jest to jakiś rodzaj uzależnienia – przyznaje.

W tygodniu nie ma nic innego do roboty. Jest po trudnym rozstaniu z dziewczyną. Teraz nie ma stałej partnerki. – Nie chcę tracić czasu na kobiety, które mają inny światopogląd niż ja lub przenoszą traumy z dzieciństwa na dorosłość. To zabiera za dużo energii.

Na terapię chodzi z przerwami – na eksperymenty z substancjami. Gdy wraca do terapeuty, niektóre fakty ukrywa. – Mówię mu: spróbowałem, nie chcę do tego wracać. Zdaję sobie sprawę z własnych autodestrukcyjnych zachowań. Ale czasem po prostu wolimy w coś uciekać. Przed czym? Na to pytanie staram się sam znaleźć odpowiedź.

KAMIL: LUBIĘ RYZYKO

– Lubię polski rap, słucham Szpaka, Bedoesa, Chivasa. Takie smutne chłopaki. „Mam na twarzy krew i tym razem nie jest sztuczna” Chivasa – to mój ulubiony kawałek 2022 r. według podsumowania Spotify. Tak jak Chivas wiem, że nie jestem w dobrym momencie mojego życia. Pewnie, że chciałbym przestać rozczarowywać własną matkę, ale – gdy sam je-

steś rozczarowany całym światem – trudno skupić się na tym, by sprostac oczekiwaniom innych wobec ciebie.

Lubię szurnąć pięćdziesiątkę ketaminy, nie będę udawać, że nie. Ćpałem gaz: propan-butan, brałem leki z kodeiną, wiele pochodnych benzodiazepin, różne leki z apteczki mojej babci, leki nasenne matki. Zdarzało mi się wynosić z domówek antydepresanty ukryte w łazienkowych szafkach. Eksperymenty są fajne – uzależniające i ekscytujące.

Kamil zaczął brać substancje odurzające na imprezach, pod koniec podstawówki. Teraz na imprezy wychodzi dużo rzadziej. W większej grupie ludzi staje się drażliwy. Woli zamknąć się w domu i eksperymentować w samotności.

– Rodziców często nie ma, wyjeżdżają na weekendy na działkę. Zresztą ojciec tyle chleje, że mama skupia się głównie na nim. Niedawno, gdy wszedł do domu po popijawie z kolegami, potknął się o schodek i rozwalil sobie czoło. Matka musiała go o czwartej rano zawozić na szycie. Niby wysoko funkcjonujący alkoholik, a tak nisko upadł, co nie?

Kamil najchętniej używa komunikatorów, o swoim smutku pisze ze znajomymi poznanymi na forum o eksperymentowaniu z narkotykami. – Wkurza mnie rzeczywistość, a na haju mogę się od tego chociaż na chwilę oderwać. Po niektórych mieszankach leków wydaje ci się, że z kątów pokoju wychodzą cienie albo że wszędzie na podłodze leżą podcinane głowy. Jesteś świadomy, że to nieprawda, że to tylko zwiidy, więc czujesz się jak w filmie. Lubię ryzyko, to uzależniające uczucie.

Twierdzi, że niewiele mu brakuje do statusu eksperta na stronie o eksperymentowaniu. – Próbowałem wielu rzeczy, chyba najbardziej mi podchodzą różne opiatowe mieszanki, pochodne morfiny, różne kombinacje z benzodiazepiną.

Kamil opisuje na bieżąco swoje doświadczenia i czyta wpisy innych. Dzięki temu wie, co z czym łączyć, a co może spowodować niepożądane efekty. Jak na przykład zapasć. – Póki co muszę trochę z tym wszystkim przystopować, bo żeby mieć kasę, muszę mieć pracę. Poza tym ostatnio gość, z którym pisałem na forum, się przekreślił. Jego znajomi pisali potem, że przedawkował jakąś mieszankę.

VIKER – ĆPANIE Z DOWOZEM

Gdzie można kupić najsilniejsze psychotropowe? Jeszcze do niedawna w ciągu kilkunastu minut można było otrzymać je za pomocą receptomatów, obecnie – po wypełnieniu formularza i zapłaceniu 65 zł za potencjalną e-receptę na Xanax otrzymując informację o silnie uzależniającym działaniu leku i braku możliwości wypisania recepty. Ale po wpisaniu w wyszukiwarkę hasła „kupię xxx” – z nazwami leków – otwierają się przede mną wrota czarnego rynku. Na portalach, na których zazwyczaj sprzedaje się używane meble, znajduję mnóstwo ogłoszeń o możliwości zakupu recept i opioidów oraz benzodiazepin – także tych dostępnych w ograniczonej ilości nawet w szpitalach onkologicznych.

Jeden ze sprzedawców podaje swojego maila. Tak trafiam na Vikera, który sprzedawaniem leków psychotropowych i narkotycznych w internecie zajmuje się od zeszłego roku. W swojej ofercie ma ponad 30 leków, w tym te, które bardzo silnie uzależniają. Zdecydowanymi bestsellerami są u niego benzodiazepiny, takie jak Xanax, oraz opioidowy lek przeciwbólowy o działaniu przewyższającym działanie morfiny. Miesięcznie realizuje około 50 recept, a zamówione przez klientów leki wysyła do punktów odbierania paczek. Niektóre sprzedawane przez niego leki kosztują 120 zł, inne, trudniej dostępne, nawet 1500 zł za opakowanie.

Viker twierdzi, że w dobrym miesiącu może zarobić nawet 20 tys. zł na czysto. W jaki sposób zdobywa recepty? Mówi, że bardzo szybko udało mu się znaleźć kilku lekarzy, którzy za 30 proc. od wartości leku zgadzają się wypisać receptę na prawie każde tabletki. Wśród nich są także onkolog i anestezjolog, bo tylko z taką specjalizacją można przepisać najsilniejsze preparaty – docelowo stworzone dla osób z nowotworami w zaawansowanym stadium.

– W NFZ nie zarabia się dużo, a z hurtowego wypisywania recept można mieć drugą czy trzecią wypłatę. Jeśli ktoś chce zamówić u mnie większą liczbę opakowań – szukam ich w darknetcie i kupuję w hurcie. Jeśli potrzebuję mniejszej ilości leków o słabszym działaniu – piszę do mojego lekarza rodzinnego. Bezproblemowo wystawia kilkanaście recept miesięcznie i o nic nie pyta. Oczywiście, jemu również odpalam kasę. Standardowo 30 proc. od mojego zysku.

FOT. GETTY IMAGES

Popularnym sposobem na pozyskiwanie recept na silne leki są także „ludzie słupy”. Viker w darknecie kupuje kilkanaście dowodów osobistych i umawia się ze współpracującymi z nim lekarzami na wystawienie recept na osoby ze skradzionych dokumentów.

– Ile zarabiam na pojedynczej transakcji? Wytłumaczę na przykładzie. Recepta na trzy opakowania Xanaxu 2 mg 30 szt. to koszt 180 zł. Wykupienie trzech opakowań w aptece kosztuje mnie drugie 180 zł. Łączny koszt za receptę i wykupienie leku to 360 zł. Jedno opakowanie sprzedaję za 250. Na trzech mam więc 390 zł czystego zysku. Ale to taka zabawa w drobnicę, dobra na początek. Teraz mam już wielu stałych klientów, robiących większe zamówienia co miesiąc.

Viker nie podaje swojego prawdziwego imienia ani wieku.

– Dbam o bezpieczeństwo i zacieranie śladów. Ale to obecnie proste. Maila zmieniam ciągle, mój adres jest nie do wykrycia. Gdy zamawiasz u mnie paczkę leków, pieniądze wysyłasz Blikiem lub podajesz mi kod, bym mógł je sam odebrać z bankomatu. Możemy się także rozliczyć w kryptowalutach. Oczywiście nigdy nie wyjmuję pieniędzy w okolicy swojego domu. Potem nadaję paczkę do punktu któregoś z operatorów paczkowych i tyle. Operacja w stu procentach bezpieczna i anonimowa.

Opowiada, że większość handlu odbywa się na specjalnych grupach i ukrytych czatach w ogólnie dostępnych komunikatorach. – Małolat ćpanie z dowozem prosto pod dom może załatwić w pięć minut. Paczki dostarczane do punktów nie są skanowane, każdy może anonimowo odebrać wszystko, nie podając żadnych wrażliwych danych. Służby o tym wiedzą i podejmują – marne w skutkach – akcje przeszukiwania takich paczek. Ale narkotyki są odpowiednio zabezpieczane, pakowane hermetycznie oraz zalewane acetonem, aby psy ich nie wyczuły – a lekami nikt się nie zajmuje. Psychotropów nie da się wykryć.

Viker mówi, że daleko mu jeszcze do zysku najgrubszych ryb, które sprowadzają leki z zagranicy i sprzedają je w hurtowych ilościach. Komu? Pokazuje mi maila, którego miał otrzymać ostatnio od właściciela jednej z firm informatycznych. To zamówienie na 60 opakowań najsilniejszego leku psychotropowego. W miesięcznej subskrypcji.

– Popyt jest coraz większy. Coraz więcej osób uzależnia się od benzo i opioidów i potrzebuje dzień po dniu silniejszych wrażeń.

Viker nie ukrywa, że sam jest uzależniony od dwóch najsilniejszych leków, które sprzedaje.

– Odstawienie ciężkich opioidów to zdecydowanie najgorsze, co ludzkie ciało może czuć. Łamanie w kościach, bóle mięśni, nadmierna potliwość, biegunka, zero apetytu. Trudno było mi wlać w siebie pół szklanki wody dziennie. I co z tego. Nawet ze świadomością, że właśnie się umiera, nie jest się w stanie przestać. Jak doświadczysz tego błogiego, wymarzonego stanu – nie jesteś w stanie z niego zrezygnować. Co z tego, że leżysz cały fioleto i mózg obumiera z powodu niedotlenienia, ważne, że „grzeje” i wszystkie problemy odchodzą.

KUPIĘ OKULARY 80 DIOPTRII

Viker wprowadził mnie do kilku grup, na których młodzi ludzie z Polski dzielą się informacjami na temat możliwości zakupu leku. „Kinderćpuny” – tak nazywa ich Viker – posługują się specyficznym slangiem i emoji. Emoji kryształ, tabletki, czaszki czy zielonego listka – określają konkretne narkotyki, opioidy lub benzodiazepiny. Jedno z najpopularniejszych hasel to „okulary 80 dioptrii”. To określenie na jeden z najsilniejszych leków z grupy opioidów na rynku. Szukają go licealiści, a nawet uczniowie starszych klas podstawówki. Na grupach użytkownicy dzielą się linkami do szyfrowanych czatów na komunikatorach typu Telegram lub Signal, na których poszczególni dilerzy prowadzą sprzedaż. Nie brakuje na nich oszustów, więc pod każdym postem reklamującym usługę konkretnego sprzedawcy kupujący mogą wystawić recenzję. Najczęściej pojawiającymi się komentarzami są: „Oszust” lub „LC” (Legit Check), czyli wiarygodny. Na niektórych grupach posty o sprzedaży są pisane specjalnym kodem, tak by algorytm nie wyłapywał niezgodnych z regulaminem treści. Taki post kopiuje się do specjalnego tłumacza, by dowiedzieć się, kto chce coś kupić, sprzedać, jaką substancję, jaką preferuje wysyłkę.

Zostałam członkinią trzech prywatnych czatów w ciągu pięciu minut. W ciągu trzech kolejnych do-

stałam możliwość zakupu wszystkich narkotyków i uzależniających leków zakazanych w Polsce. Jeden klik dzielił mnie od anonimowego zakupu wszelkiego rodzaju psychotropów, morfiny, heroiny i fentanyle, który można śmiertelnie przedawkować już przy pierwszym użyciu.

CO NA TO PSYCHIATRY?

Stosowanie leków w celach rekreacyjnych to popularna praktyka, przyznaje lekarz psychiatra Wojciech Lubiński. Najpopularniejsze leki zdobywane przez pacjentów na czarnym rynku to benzodiazepiny, opioidy i metylofenidat.

– Jako praktykujący psychiatra obserwuję, że mamy wzrost rozpoznawalności ADHD u osób dorosłych, których leczymy lekiem poprawiającym koncentrację i uwagę. Wiele osób zgłasza takie objawy, aby zdobyć ten lek. Jest on coraz częściej wypisywany.

Dr n. med. Joanna Wilkowska podkreśla, że włączenie tego leku musi być poprzedzone wnikliwym badaniem przeprowadzonym przez specjalistę psychiatrę. Oceniony musi być stan somatyczny pacjenta – ciśnienie tętnicze, tętno, badanie EKG.

– Stosowanie rekreacyjne leków tego typu jest niestety częste i niebezpieczne – mówi dr Wilkowska. – Przy nieodpowiednim dawkowaniu lub przy obecności innych chorób mogą się pojawić objawy niepożądane, także zagrażające życiu. Jakże? Na przykład drżenia i kołatanie serca, arytmie, skoki ciśnienia tętniczego, tiki nerwowe, drgawki, a nawet nagła śmierć sercowa. Nieodpowiednie dawkowanie może wywołać także epizod manii lub psychozy.

– Lek na ADHD znajduje się w wykazie środków odurzających i substancji psychotropowych. Obrót takimi lekami jest regulowany m.in. ustawą o przeciwdziałaniu narkomanii. Niestety jest on dostępny na czarnym rynku.

CO NA TO FARMACEUCI?

Według aptekarza z Opola, który chce pozostać anonimowy – nie da się wyprowadzić leków bezpośrednio z apteki. Rozchód leków psychotropowych jest ewidencjonowany, co kilka dni sprawdzany jest ich stan. Bardzo silne leki przechowywane są w sejfach i pancernych szafach aptecznych, do których dostęp mają tylko magistrzy farmacji. – To, co wzbudza mój niepokój, to ludzie, którzy przychodzą z receptami wypisanymi w innym mieście. Podejrzewam, że czasem są to recepty wystawione przez skorumpowanych lekarzy. Realnym problemem jest też fałszowanie leków. Takie tabletki produkowane są poza Unią Europejską i sprowadzane w hurtowych ilościach także do Polski. „Podróbki” sprzedawane są potem w darknecie. Są niebezpieczne, bo nie do końca wiemy, czy mają taki sam skład, jak oryginalne leki.

Rzecznik prasowy jednego z największych producentów leków w Polsce zgadza się odpowiedzieć, ale anonimowo. – Każda osoba, która ma z lekiem styczność – od momentu wyprodukowania do dostarczenia go klientowi w aptecce – musi wypełnić odpowiednie dokumenty, które są zbierane i raportowane do Ministerstwa Zdrowia. Każdy ruch magazynowy jest zanotowany. Taki raport musi powstać codziennie.

Rzecznik dodaje, że powołana w 2017 r. Krajowa Organizacja Weryfikacji Autentyczności Leków zarządza informatycznym systemem weryfi-

kacji autentyczności produktów leczniczych. Każdy autentyczny, niepodrobiony lek ma na opakowaniu kod, dzięki któremu można prześledzić drogę danej substancji – od produkcji aż do dostarczenia do apteki.

– Nie słyszałem o nieprawidłowościach w wydawaniu czy kradzieży leków z aptek, hurtowni lub od producentów. Systemy informatyczne stworzone przez Europejską Organizację Weryfikacji Autentyczności Leków zapewniają całkowitą transparentność gospodarki lekowej. Skąd więc leki na czarnym rynku? Mówi się o kupowaniu podrobionych leków w Indiach lub w innych krajach azjatyckich. „Mrówki” przemycają je w swoich bagażach, później taki lek wpuszcza się na czarny rynek w Polsce. Ale najczęściej, niestety, to lekarze, skuszeni wizją większego zarobku, zgadzają się wystawiać recepty na silne opioidy i psychotropy. Co więcej – zgadzają się często wystawiać recepty na „słupy” – czyli na podrobione dowody osobiste. Podejrzewam, że stąd się bierze większość leków dostępnych na czarnym rynku.

CO NA TO OPERATORZY PRZESYŁEK?

Wojciech Kądziołka, rzecznik prasowy InPostu, na pytanie o to, w jaki sposób operatorzy starają się zapobiegać sprzedaży leków i narkotyków, odpowiada, że InPost ściśle współpracuje z organami ścigania – policją, CBŚ, Strażą Graniczną, ABW. – Od wielu lat w Grupie InPost funkcjonuje specjalny zespół, który zajmuje się analizą tego problemu. InPost podlega pod ustawę Prawo pocztowe, które na operatorów pocztowych nakłada wiele ograniczeń. Według tego prawa spółka nie może badać zawartości losowo wyselekcjonowanych paczek. W przypadku podejrzenia popełnienia przestępstwa operator pocztowy musi powiadomić o tym policję. Powiadomienie policji nie jest jednak zawsze możliwe, bo spółka nie zna zawartości otrzymywanych od nadawców przesyłek, więc nie zawsze może zaistnieć przesłanka uzasadnionego podejrzenia, że zawartość danej przesyłki narusza przepisy prawa.

CO NA TO POLICJA?

Rzecznik prasowy komendanta głównego policji insp. dr Mariusz Ciarka odpisał, że policja weryfikuje wszelkie informacje uzasadniające podejrzenie popełnienia przestępstwa, ale nie może mówić o szczegółach. Dodał, że od 1 czerwca 2022 r. do 1 maja 2023 r. policja skonfiskowała łącznie 353 kg substancji leczniczych, w tym opioidów i benzodiazepin.

NAJGORSZE DOŚWIADCZENIE?

Wojtek: – Pomyliłem się w dawkowaniu jednego leku, jechałem na hulajnodze elektrycznej. Znalaziono mnie półprzytomnego na ulicy, trafiłem na SOR.

Kamil: – Przedawkowanie leków antyhistaminowych – mało mnie wtedy nie przekreśliło.

Viker: – No najgorzej to z tymi dziećmi. Że mocno uzależniają leki kupują na garście. Bo większość osób, którym sprzedaję mocne opioidy, to 13-14-latkowie. Sprzedawanie drogów dzieciakom to dla mnie gorsze doświadczenie niż zjazdy po moich mieszkaniach. Ale biznes jest biznes, nie? ●

*Handlarz: Kilkanaście recept
w miesiącu wypisuje lekarz, któremu
odpalam 30 proc. zysku.
Większe ilości leków kupuję w darknecie*

Prawda o chemtrailsach, czyli milczenie Muska

Orliński



Lubię obserwować na Twitterze nie tyle profil Elona Muska, ile wypowiedzi ludzi, którzy mu odpisują. Musk przedstawia siebie jako orędownika nauki i postępu – ale wśród jego wielbicieli jest wielu wyznawców teorii spiskowych, zazwyczaj wrogo nastawionych do tych wartości.

Gdy więc Musk napisze coś o lotach kosmicznych, to praktycznie gwarantowane, że przybiegną ludzie przekonani, że lądowanie na Księżycu było oszustwem.

Gdy napisze o klimacie, pojawią się nie tylko komentarze z serii „nie ma zmian klimatycznych, a poza tym są korzystne, a poza tym nie ma dowodu, że są spowodowane przez człowieka”, ale jeszcze ciekawsze: „Dlaczego Elon Musk milczy o chemikaliach rozpylanych z samolotów i ich wpływie na klimat?”.

Ludzie, którzy piszą takie rzeczy, zazwyczaj na swoich profilach zaznaczają też, że są „przeciw ideologii woke”, nie wierzą w COVID ani w skuteczność szczepionek, popierają Trumpa i Putina. Musk zdaje się ich przyciągać jak magnes.

Zazwyczaj ich wypowiedzi mają formę pytań do miliardera. „Skąd na Księżycu wzięła się kamera? Dlaczego flaga powiewa w próżni? Dlaczego prezydent Nixon rozmawia z astronautami przez telefon stacjonarny?”.

Nie potępiam oczywiście samego zadawania pytań, ale ja w takiej sytuacji czytam książkę z odpowiedziami. Czasem nawet takowe pisuję.

W przypadku misji Apollo polecam następującą pozycję: Andrew Chaikin, „A Man on the Moon. The Voyages of the Apollo Astronauts”. Tam jest wszystko wyjaśnione: jak usztynili flagę, jak zamontowali kamerę na zewnątrz lądownika, jak działała łączność, a nawet jak astronauta robili siusiu i kupkę (nie chcecie wiedzieć).

Niepojęte dla mnie jest co innego. Czemu ktoś, dla kogo te pytania są na tyle ważne, żeby je zadawać na Twitterze – nie sprawdzi, czy odpowiedzi nie ma po prostu w Wikipedii? Pogodziłem się z tym, że książki czytać potrafią już tylko nieliczni, no ale jeśli ktoś umie obsługiwać Twittera, umie też chyba obsługiwać Google?

To się wiąże ze szczególnym rodzajem pytań, na które książki już nie pomogą. „Jak wyjaśnisz to zdjęcie? [i tutaj zwykle mamy zdjęcie albo Stanleya Kubricka wśród księżycowej dekoracji, albo astronautów w studiu filmowym]”.

Jest w nim logiczna sprzeczność. Jeśli ktoś uważa, że wszystkie filmy i zdjęcia z lotów Apollo moż-

na było sfalszować – to czemu uważa jakiegokolwiek zdjęcie za dowód na cokolwiek?

Sceptycyzm takich ludzi zawsze działa tylko w jedną stronę. Wszystko, co jest w książkach, wszystko, czego uczą na uniwersytetach – to spisek, kłamstwo, manipulacja, ideologia woke i neomarksizm.

Za to filmik na YouTube, zwłaszcza w popularnym formacie „jeden przyglupiasty celebryta rozmawia z drugim przyglupiastym celebrytą”, nie może się mylić. Wobec takich filmików rzekomy sceptyk przejawia całkowity brak krytycyzmu.

Spiski się oczywiście zdarzają, ale do ich sukcesu potrzebny jest jeden warunek: nie może o nich wiedzieć zbyt dużo ludzi. „Tajemnica, o której wie cały pułk, przestaje być tajemnicą”, jak mawiała wojaskowi.

Przy misjach Apollo pracowały tysiące ludzi. To przecież nie tylko centrum dowodzenia w Houston, ale także robotnicy w zakładach Boeinga, IBM czy General Motors, nie mówiąc już o tłumach gapiów, którzy obserwowali start rakiet na przylądku Canaveral.

Ten jednostronny sceptycyzm osiąga szczytową fazę przy teorii spiskowej o chemtrailsach, czyli chemikaliach rozpylanych przez samoloty pasażerskie w nieznanym celu.

Tutaj „dowód” jest jeden: faktycznie, samoloty zostawiają za sobą smugi! Wystarczy spojrzeć przez okno.

O chemtrailsach mówił ojciec Stanisław Tomoń na Jasnej Górze, posłanka Solidarnej Polski Barbara Chrobak złożyła w tej sprawie interpelację. Co trzeba mieć w głowie, żeby się na to nabrać? Przecież wiara w chemtrailsy wymaga założenia, że tysiące załóg i pracowników obsługi naziemnej widzi w samolotach jakieś tajemnicze instalacje, ale wszyscy to ukrywają.

Smugi kondensacyjne zostawiane przez samoloty nie wyglądają jak zwykła para wodna – bo to nie jest para wodna. To kryształki lodu.

Są tak wysoko, że z ziemi wydają się nieruchome. Ich naturalnym odpowiednikiem są chmury typu cirrus – po paru dniach smugi samolotowe w końcu się zresztą w te chmury zamieniają.

Paradoksalnie, gdyby ktoś naprawdę chciał rozpylać chemikalia, bez trudu tak by dobrać skład mikstur, żeby była niewidoczna. Przecież można wymyślić aerozol, który nie tworzy kryształków lodu!

Ciekawe, że tego typu ludzie zazwyczaj teorie spiskowe biorą w całych pakietach. Kto wierzy w chemtrailsy, ten zapewne też uważa, że nie było żadnej pandemii, szczepionki to spisek Billa Gatesa, każdej zimy ogłasza też, że nie ma żadnego globalnego ocieplenia.

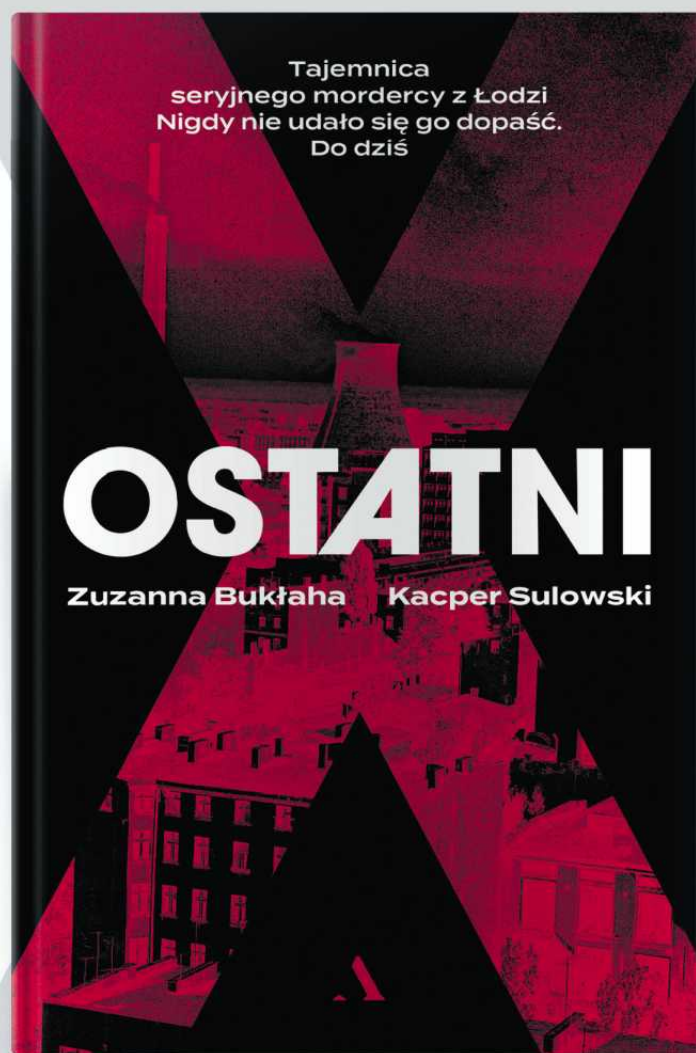
Nie rozumiem tylko jednego: skąd ślepa miłość tych ludzi do Elona Muska? Przecież on też jest w spisku, skoro nie chce ujawnić „prawdy o chemtrailsach”... ●

Wojciech Orliński

NAJWIĘKSZA ZAGADKA W HISTORII POLSKIEJ KRYMINALISTYKI.

JEDYNY SERYJNY ZABÓJCA,
KTÓRY NIE ZOSTAŁ OSĄDZONY.


KRYMINALNE ŚLEDZTWO,
KTÓRE PROWADZI DO DOMU
MORDERCY.



„Zabójca z Pikiety” w latach 1988–1993 bestialsko zamordował siedmiu homoseksualnych mężczyzn z Łodzi. Nigdy nie został osądzony. Reporterzy Zuzanna Bukłaha i Kacper Sulowski podjęli się zadania, którego nikt wcześniej nie wykonał: odtworzyli wszystkie zdarzenia, zebrali nieoficjalne policyjne notatki, niepublikowane wyniki badania podejrzanego wariografem, rozmawiali ze świadkami, policjantami z Archiwum X i prokuratorką, która przesłuchiwała Romana Pawluka. Dotarli do mordercy. I zjedli z nim sernik.

**OSTATNI TO WSTRZĄSAJĄCY REPORTAŻ,
KTÓRY OBNAŻA NIEMOC PRAWA I WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI.**

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA  **publio.pl**

 **Wydawnictwo
Agora**

Wyrzucamy 100 kg żywności na osobę rocznie

UMYJ Ugotuj

W polskich sklepach mąka „dzień po dacie” idzie do śmieci. W Belgii można ją sprzedawać jeszcze przez rok

Najbardziej udane skipy to te, których wcześniej nie planuję. Bo ile razy wychodzę po jabłko, znajduję kosmetyki. Szukam kosmetyków, znajduję banany – mówi Wiktoria.

Skipy to wyprawy na śmietnik. Wiktoria (20 l.), studentka psychologii i zawodowa piercerka, od czterech lat skipuje kilka razy w tygodniu. – Robię to, bo bardzo mnie obchodzi nasz świat i ekologia. Jestem wegetarianką, jem dużo owoców i warzyw. I serce mnie boli, kiedy muszę coś wyrzucić – tłumaczy.

Opowiada, że do skipowania wystarczy rękawiczki i torba. Nie przeszkadza jej, że czasem wpadnie jej w ręce jakiś zgniły owoc. Większym problemem jest to, że przy jej 1,66 m wzrostu musi w kubie niemal zanurkować.

Kubły, w których nurkuje, najczęściej stoją pod popularnym sieciowym sklepem spożywczym tuż obok jej domu w Warszawie. Są dostępne z chodnika, każdy może do nich zajrzeć. To coraz rzadsze, więc amatorów skipowania w tych kubłach jest więcej.

– Czasem trzeba trochę pogrzebać. Ale zwykle produkty nie są wymieszane. Znajduję np. pięć paczek malin, dwadzieścia jabłek, trzydzieści gruszek. Często trafiają mi się też pomidory, banany. Najbardziej cieszę się z egzotycznych owoców: mango, ananasów, awokado – mówi Wiktoria.

Wiktoria stara się skipować w nocy, zwykle koło trzeciej. Pracownicy mają wtedy nocne zmiany, na których układają towar, ochroniarz „niby czuwa, ale nie stoi przy kamerze cały czas”. – Idę z latarką, patrzę, co jest, biorę – mówi Wiktoria. Bardzo ważne jest dla niej, by skipując, dbać o porządek wokół śmietnika.

A najważniejszą jest zasada: bierzesz tyle, ile zjecie ty i twoja rodzina. Żeby nie wyrzucić.

Rodzina? Z początku reagowała obrzydzeniem. Kiedy się dowiedzieli, że Wiktoria daje im do jedzenia coś, co było w śmietniku, nie chcieli tego tknąć. Ale po kilku latach mama umie już wrócić do domu z torbą pomidorów i pochwalić się: „Zobacz, co znalazłam!”. Zdała sobie sprawę, że warzywo, owoc można umyć i są dalej zdatne do jedzenia. – Na przykład jabłko zwykle mają jakąś centymetrową plamkę, obicie. A zdarzają się też całe skrzynki zupełnie dobrych produktów – przekonuje Wiktoria. I zaznacza, że niektóre z nich są jeszcze „w dacie”. Rekordowy produkt był ważny jeszcze dwa miesiące.

JEDNĄ TRZECIĄ ŻYWNOCI WYRZUCAMY

Według danych Eurostatu w samym 2020 r. mieszkańcy Unii Europejskiej wyrzucili do śmieci średnio 131 kg żywności na osobę (Polacy „tylko” ok. 100 kg na osobę). Kraje Unii straciły w ten sposób 59 mln ton jedzenia za ok. 130 mld euro. Eurostat szacu-

je, że marnujemy aż jedną trzecią wyprodukowanej żywności. Za ponad połowę tej straty odpowiadają gospodarstwa domowe.

Tymczasem aż 36 mln obywateli Unii Europejskiej co drugi dzień nie może sobie pozwolić na pełnowartościowy posiłek. A ceny żywności stale rosną.

„Nadwyżki żywności nadającej się do spożycia przez ludzi trzeba udostępniać potrzebującym. Niemoralne jest tego nie robić” – mówi Stefan De Keersmaecker, rzecznik Komisji Europejskiej. On sam „do zakupów podchodzi z uwagą”, „starannie planuje posiłki”, „nie kupuje rzeczy, których nie używa”. Inne rady to m.in.: wykorzystuj resztki, nadmiar jedzenia porcjuj i zamrażaj, prawidłowo przechowuj (w lodówce w temperaturze 1-5 st. C), nie rób zakupów, gdy jesteś głodny.

BOJĘ SIĘ NIE POLICJI, ALE TRUTKI NA SZCZURY

– Zdarza się, że pracownicy wzywają policję. Często też policjanci kręcą się przewencyjnie w okolicy. Ale jeśli śmietnik nie jest zamknięty, mogą mnie najwyżej spisać – mówi Weronika.

Bardziej obawia się, że znalezione rzeczy mogą być celowo zatrute, np. posypane trutką na szczury. Dlatego zawsze starannie je ogląda. Gdy wie, że nie da rady sama zjeść wszystkiego, co znalazła, robi zdjęcie kubła i wstawia na jedną z freegańskich grup. Jeśli przyniesie do domu za dużo żywności, robi jej zdjęcia i udostępnia w grupkach typu „Uwaga, śmieciarka jedzie – Warszawa” (licząca ponad 113 tys. członków grupa facebookowa pozwala mieszkańcom stolicy oddawać wszystko osobom potrzebującym). Znikają od razu.

Opowiada, że ratowała żywność już jako nastolatka. Kiedy po wigiliach klasowych w liceum zostawiało jedzenie, pakowała je i zanosila bezdomnym. Dziś zostawia je w jadalniach. Sama nigdy nie bierze z nich jedzenia. – Z jadalni korzystają często osoby starsze, które nie będą uciekać przed ochroną sklepu. Ja mogę to robić i mam do wyboru śmietniki w całej Warszawie – tłumaczy. I zaraz precyzuje, że chodzi o śmietniki otwarte, bo wiele sklepów ma je też wewnątrz obiektu. Wiktoria pytała nawet w sklepach, czy mogą ją do takiego zamkniętego śmietnika wpuścić, ale na dziesięć zgodził się jeden. Kierowniczka była tak miła, że sama zaproponowała, że będzie Wiktorii odkładać warzywa i owoce, zanim trafią do kosza. Ale potem przyszedł inny kierownik i układ przestał działać.

POLSKA NIE WPROWADZA ZMIAN

– Gdy żywność zostaje uznana za odpad, przestaje być żywnością. Decyzję o tym podejmują konsument lub przedsiębiorca i dają jej wyraz, umieszczając ją w odpowiednim do tego miejscu – tłumaczy polskie przepisy prof. Paweł Wojciechowski, praw-

OKTAWIA
KROMER





• **Wiktorja Moch: Najważniejsza zasada? Bierzesz tyle, ile zjecie ty i twoja rodzina. Żeby nie wyrzucać**

FOT. ADAM STĘPIEŃ
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

nik z Katedry Prawa Rolnego i Systemu Ochrony Żywności Uniwersytetu Warszawskiego.

– Czy zabranie takiego odpadu jest nielegalne? To kradzież? – dopytuję.

– Nie. Porzucenie rzeczy oznacza wyzbycie się jej własności, a własność takiej rzeczy nabywa się przez jej objęcie w posiadanie. Jednak wątpliwości pojawiają się, gdy zabranie żywności ze śmietnika wymaga wejścia na teren prywatny z naruszeniem zabezpieczeń (np. zamkniętego ogrodzenia) lub wbrew informacjom o zakazie wejścia – tłumaczy. Podkreśla też, że to istotne, czy zabieram tę żywność, żeby ją samodzielnie zjeść, czy w celu dalszej dystrybucji. Dalsza dystrybucja, w szczególności płatna, jest niedopuszczalna w świetle wymogów dotyczących bezpieczeństwa żywności.

Jeśli chodzi o dalszą dystrybucję takiej żywności w jadalniach, odsyła mnie do ich regulaminu. Czytam, że umieszczane w jadalniach produkty mogą przekraczać datę minimalnej trwałości („najlepiej spożyć przed”), ale nie mogą przekraczać terminu przydatności do spożycia („należy spożyć do”). Nie mogą też mieć oznak popsucia, zawierać surowego mięsa, surowych jaj, alkoholu. Czy mogą pochodzić ze śmietnika? Oficjalnie: nie. W praktyce: jeśli to np. owoce i warzywa, które dobrze wyglądają, zostały umyte, ich pozostawienie w jadalni nie zwróci niczyjej uwagi.

Prof. Wojciechowski ubolewa, że Polacy nie różnią dwóch terminów umieszczanych na etykietach. Przez to do śmietników trafia bardzo wiele rzeczy, które nie musiały się tam znaleźć.

O dwóch różnych terminach nie wie też większość konsumentów w Unii Europejskiej. Rzecznik Komisji Europejskiej Stefan De Keersmaecker informuje, że Komisja rozważa zmianę oznaczeń żywności na takie, w których różnica między datą „best before” („najlepiej spożyć przed”) a „use by” („należy spożyć do”) byłaby wyraźniej zaznaczona. Praca koncepcyjna ma się skończyć w tym roku i jest elementem strategii „Od pola do stołu”, która ma umożliwić krajom UE przejście na zrównoważony system żywnościowy.

De Keersmaecker podkreśla, że KE walczy z marnotrawieniem żywności już od 2015 r., gdy ONZ i KE przyjęły siedemnaście celów zrównoważonego rozwoju, m.in. „produkowanie i konsumowanie w zrównoważony sposób”. Aby ten cel został zrealizowany, do 2030 r. należy zmniejszyć o połowę światowe marnotrawstwo żywności przypadające na mieszkańca (w handlu detalicznym i u konsumentów), a także „ograniczyć straty żywności w całym łańcuchu dostaw”. Czy to się uda? „Dotychczasowe postępy nie osiągnęły skali i tempa niezbędnych do osiągnięcia tego celu” – przyznaje De Keersmaecker.

Coś jednak zrobiono. KE zaczęła np. monitorować straty żywności, otworzyła specjalną platformę ekspercką i uprościła proces przekazywania darowizn z żywności, która się nie sprzedała.

Polskie prawodawstwo nie uwzględnia nawet tego. Choć zgodnie z przepisami unijnymi żywność po dacie „najlepiej spożyć przed” można bezpłatnie przekazywać np. bankom żywności, u nas takie działania blokuje polskie prawo (art. 52 ustawy o bezpieczeństwie żywności i żywienia). – Polskie przepisy przewidują sankcje za wprowadzanie do obrotu żywności po upływie zarówno jednej, jak i drugiej daty – mówi prof. Wojciechowski.

DLA PREZESÓW I BEZDOMNYCH

Monikę, mieszkankę warszawskiego Śródmieścia i matkę sześciorga dzieci, poznałam w 2019 r. Od roku korzystała z jadalni i grup internetowych. Zaczynała na „Śmieciarce”. – Oddawałam tam kompoty i dzemy, które dostałam od sąsiadki. Były bez cukru, a u nas nikt takich nie je. Chłopak, który się po nie zgłosił, zapytał, czy chciałabym trochę warzyw. Spodziewałam się niedużej ilości, a przysłał całą siatkę. Banany, ziemniaki, cukinie, papryki, marchewki, bakłażany... Wcześniej nie znałam smaku cukinii, widywałam je w sklepie, ale były drogie, więc nie kupowałam. Bakłażan? Nie wiedziałam nawet, jak wygląda. Zrobiłam wielkie oczy i mówię: „Człowieku, skąd ty to masz?”.

Dowiedziała się, że chłopak jest „ratownikiem żywności”, czyli wolontariuszem grupy Foodsharing Warszawa. To, co uratuje, zawozi do jadalni, część zostawia sobie i swojej rodzinie, część rozdaje znajomym. Wtedy pierwszy raz usłyszała o istnieniu jadalni. Szybko złapała bakcyła. W lecie w jadalniach znajduje najwięcej warzyw i owoców. Przez cały rok – pieczywo: bagietki, chleb, czasem słodkie bułki.

➤ Gdy spotykamy się w marcu 2023 r., okazuje się, że Monika z użytkowniczką jadalni stała się „ratowniczką Foodsharing Warszawa” – kilka razy w tygodniu odbiera żywność ze sklepów i zawozi je innym do jadalni.

Przeszła specjalny „proces rekrutacyjny”. – Są trzy próbne odbiory: w piekarni, w restauracji i na bazarze. Idzie z tobą ratownik, obserwuje i ocenia. Czy jesteś dobrze przygotowana, nie spóźniasz się, jesteś kulturalna, komunikatywna – wylicza Monika. Chodzi o to, by takie osoby potrafiły odpowiednio się zachować. Nie mogą na przykład awanturować się w piekarni, że ktoś oddaje im pieczywo, ale już słodkich wypieków nie, bo pracownicy zostawiają je dla siebie i swoich rodzin. Potem kandydat uzyskuje dostęp do wewnętrznej aplikacji Foodsharing Warszawa, w której ratownicy zapisują się na odbiory żywności. Dzięki temu odbierają całą żywność ze wszystkich współpracujących lokali w mieście.

– Moja ulubiona działka to piekarnie. Ale odbieram też z restauracji, bazarów, fundacji – mówi Monika. Do odbioru pieczywa wystarczy, że zabierze z sobą lateksowe rękawiczki („najwygodniejsze i nie spadają z rąk”) i torebki. Z odbiorami z restauracji jest trudniej, bo jedzenie zabiera się w dużych, nawet 10-litrowych wiadrach, a w domu porcuje, np. do pojemniczków po kiszzonej kapuście, i zawozi do jadalni. Przy odbiorach z bazarów rękawiczki nie są konieczne, bo owoce i warzywa i tak myje się przed jedzeniem. Warto jednak je nosić, żeby nie pobrudzić sobie rąk. Na bazarach Monika zgarnia „mniej idealne” ziemniaki, papryki, brokuły, mandarynki, pomarańcze, cytryny. Papryk trafiło jej się ostatnio sporo. Były tylko trochę pomarszczone.

– Wzięłam dla ciebie, jedz śmiało – podsuwa mi drożdżówkę z porzeczkami. I tłumaczy, że czasem słodkich wypieków zostaje tak dużo, że i nimi pracownicy się dzielą. – Jestem ratowniczką, ale też mogę z tego jedzenia skorzystać. Ważne, żeby się nie zmarnowało, niezależnie od tego, kim jest osoba, która to weźmie. Czy to prezes firmy, czy osoba bezdomna – mówi Monika.

– Ale chyba jednak chodzi też o to, żeby korzystali z tego ci, którzy tego faktycznie potrzebują? – drąży.

Monika zamyśla się. – Do większości jadalni przychodzą osoby, które zabierają z nich jedzenie hurtem. Może je później odsprzedają? Mam nadzieję tylko, że nie biorą go dla siebie „na zapas” po to, żeby potem wyrzucić, bo to by oznaczało, że moja praca idzie na marne. Niestety niektórzy odbiorcy są przy tym naprawdę bezczelni – irytuje się. – Na Lotników bezdomni zaczęli tam spać. Przynoszą śmieci, śmierdzące ciuchy. No i strasznie brudzą. Ile razy widziałam błoto na podłodze, rozkruszone pieczywo na szafkach, lodówkę wołającą o pomstę do nieba. Ile razy takie rzeczy sprzątałam! – wzdycha Monika.

Żeby mieć pewność, że uratowane jedzenie trafi w dobre ręce – kiedy tylko może, umawia się z zainteresowanymi przez internet, na odbiory osobiste u niej w domu. Rozdaje tak zwłaszcza pieczywo.

Gdy pytam o nazwę piekarni, z której pochodzi drożdżówka, Monika mówi, że nie może mi tego oficjalnie, do tekstu, powiedzieć. Firmy, które współpracują z grupą Foodsharing Warszawa, proszą wolontariuszy o dyskrecję.

W kwietniu 2023 r. w Warszawie było około 230 wolontariuszy Foodsharingu. W ciągu czterech lat ich liczba się potroiła.

PROFESOR: DOPUŚCIĆ REDYSTRYBUCJĘ

– Powinniśmy zmienić ustawę i dopuścić redystrybucję żywności po terminie „najlepiej spożyć przed”. W Danii, Finlandii, Norwegii, Niemczech produkty po tej dacie nie tylko przekazuje się na cele charytatywne, ale nawet sprzedaje – wylicza prof. Danuta Kołożyn-Krajewska z Katedry Technologii Gastronomicznej i Higieny Żywności Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Reporterka Marta Sapała w książce „Na marne” pisze o WeFood w Kopenhadze, pierwszym w Europie sklepie z przeterminowaną żywnością, albo o prowadzonej przez organizację pozarządową restauracji Rude Food w szwedzkim Malmö, gdzie gotuje się ze składników odzyskanych z pobliskiego targowiska. Szefową kuchni jest tam Polka, Agata Bielska. Krótko przed rozmową z reporterką gotowała dla szwedzkiego sanepidu. Jak pisze Sapała, takie restauracje działają też w Polsce, ale po cichu.

Gdy autorka „Na marne” rozmawiała z prof. Kołożyn-Krajewską, w jej katedrze właśnie trwało gromadzenie surowców do analizy procesu „psucia się” dziesięciu wybranych produktów oznaczonych



w Polsce datą minimalnej trwałości („najlepiej spożyć przed”). To m.in. kasze, makarony, ryż, konserwy, majonez, śmietanka UHT.

W kwietniu 2023 r. prof. Kołożyn-Krajewska podsumowuje: – Produkty trwałe mogą być spokojnie spożyte po dacie podanej na opakowaniu. Po upływie trzech miesięcy nie było żadnych zmian: chemicznych, mikrobiologicznych, sensorycznych, czyli w smaku i zapachu. Po pół roku były pewne zmiany, głównie dotyczące wyglądu. Jakies rozwarstwienie, lekka zmiana barwy. Ale jeśli chodzi o bezpieczeństwo tej żywności, nie było żadnego zagrożenia.

Sugeruje nawet, że na niektórych produktach można by tej daty w ogóle nie umieszczać. Na przykład cukier, sól kuchenna, wysokoprotentowy alkohol, odpowiednio przechowywane, nie psują się.

– Jak rozpoznać, że coś jest zepsute w taki sposób, że nam zaszkodzi? – pytam. Niestety, okazuje się, że to nie zawsze jest proste.

– Za bezpieczeństwo produktu z punktu widzenia mikrobiologicznego odpowiadają przede wszystkim mikroorganizmy patogenne, czyli chorobotwórcze. Może być tak, że produkt wygląda na zepsuty, ale wcale nie jest szkodliwy. Rozwinęły się w nim po prostu mikroorganizmy gnilne, czyli saprofity. Te mikroorganizmy zmieniają zapach, barwę, smak. Nie są jednak chorobotwórcze. Jeśli jest ich dużo, mogą spowodować np. wzdęcia, ale nie zatrucie pokarmowe. Ich obecność to dla nas tylko ostrzeżenie, że razem z saprofitami mogły się w produkcie rozwinąć patogeny. Ale jest też bardzo dużo patogenów, które się rozwijają w żywności, ale nie dają żadnych zmian smaku ani zapachu.

Jak się nie zatruci? Ogólna zasada: umyć porządnie i ugotować. W ten sposób wyeliminujemy drobnoustroje, czyli bakterie i wirusy pokarmowe, które są główną przyczyną zatrucia pokarmowych. W ten sposób możemy np. reanimować zupę, którą ugotowaliśmy cztery dni temu. („Jeśli chwilę się pogotu-

je, to nie ma siły, te drobnoustroje zginą” – zapewnia ekspertka). Największy problem to produkty pochodzenia zwierzęcego, które spożywa się na surowo, np. owoce morza czy mięso na tatar. Niebezpieczne są też produkty „ready to eat”, które przechowujemy po przygotowaniu, jak sałatka jarzynowa, naleśniki, paszteciki, kanapki.

Żywność, jak mówi prof. Kołożyn-Krajewska, psuje się z czterech powodów. To tzw. aktywność wody w produkcie, obecność tlenu, temperatura i kwasowość. Mikroorganizmy potrzebują wody, więc jeśli obniżymy jej zawartość do poziomu 11 proc. i odpowiednio zapakujemy produkt, będzie on trwały. Są mikroorganizmy, które rozwiną się bez tlenu, ale i takie, które go nie potrzebują (beztlenowce). Temperatura? W tzw. danger zone, czyli od 5 do 60 st. C, większość mikroorganizmów rozmnaża się w szybkim tempie. Ale „mikroorganizmy lodówkowe” będą się rozmnażały w temperaturze poniżej 5 st. C, a są i takie, którym nie przeszkadza temperatura powyżej 60 st. C (dlatego pasteryzujemy w temperaturze min. 70-72 st. C). Ostatni czynnik to kwasowość. Im większe zakwaszenie, tym mniej mikroorganizmów może się rozwijać. Wyjątkiem jest pleśń. Kiszonki mogą mieć pleśnię. Jedyne, czego pleśnię potrzebują, to tlen. Dlatego zamykamy kiszonki w słojach, beczkach. Przechowując żywność, często trzeba brać pod uwagę wszystkie te czynniki albo co najmniej dwa.

Jeśli chodzi o owoce i warzywa, to w nich też mogą być patogeny, ale najczęściej zauważymy na nich pleśń lub objawy gnicia. – Z pleśnią trzeba uważać. Jeśli zobaczymy ją na owocach lub warzywie, to nie nadają się one już do spożycia, niezależnie od tego, czy tę pleśń z niego odkroimy. Pamiętajmy też, że pleśnię widzimy, kiedy już mocno wyrosną. Wcześniej też mogą być w tym produkcie, ale słabiej widoczne. Wytwarzają tzw. mykotosyny, które kumulują się w organizmie i z czasem mogą powodować nowotwory i inne schorzenia organów wewnętrznych. Co innego, jeśli owoc nadgnije. Wystarczy wtedy odkroić nadgniłą część, resztę można zjeść – tłumaczy naukowczyni.

Gdy pytam o szukanie żywności w śmieciach, podkreśla, że jeśli produkt znalazł się w kontenerze, to raczej nie był przechowywany w odpowiedniej temperaturze i sam ten fakt stwarza już duże zagrożenie. – Wędliny, świeże i surowe mięso powinno się przechowywać w temperaturze poniżej 4 st. C. Warzywa w temperaturze 8-10 st. C. Produktu trwałego, np. kaszy czy makaronu, w nieuszkodzonym opakowaniu, prawdopodobnie można użyć. Jeśli chodzi o warzywa i owoce, wizualnie można zwykle stwierdzić, czy nie są zepsute. Jeśli nie są, to po porządnie umyciu można je zjeść – mówi.

Z produktami oznaczonymi „należy spożyć do”, z podaną datą dzienną (tzw. produktami nietrwałymi

„Najlepiej spożyć przed”
czy „należy spożyć do”?



mi), badaczka radzi nie eksperymentować po upływie tej daty. To głównie produkty pochodzenia zwierzęcego, czyli mięsne, mleczne, kefiry, jogurty, wędliny.

WYRZUCAMY 3 TYS. ZŁ ROCZNIE

Jak dowiaduję się od Norberta Konarzewskiego z Federacji Polskich Banków Żywności, produkty, które banki pozyskują ze sklepów i sieci handlowych, zawsze dzieli od daty przydatności przynajmniej kilka dni.

Ale np. w Belgii Fédération Belge des Banques Alimentaires produkty o najdłuższej dacie trwałości (np. mąkę, makaron, ryż, kawę, herbatę, mrożonki) może przechowywać i dystrybuować przynajmniej rok po upływie daty wybitej na opakowaniu, a mniej trwale (np. biszkopty, masło orzechowe, olej, twarde sery) – przez dwa miesiące po tej dacie.

A Evira, fiński odpowiednik sanepidu, pozwala organizacjom charytatywnym używać produktów nawet po upływie najbardziej restrykcyjnej daty („należy spożyć do”), jeśli tylko zostaną poddane obróbce cieplnej najpóźniej następnego dnia, a wcześniej uważnie obejrzone.

Zgodnie z ustawą o przeciwdziałaniu marnowaniu żywności, która weszła w życie w 2019 r., duże sklepy (powyżej 250 m kw.) mają obowiązek przekazywać niesprzedane, ale jeszcze dobre artykuły spożywcze organizacjom charytatywnym. Jeśli tego nie zrobią, będą musiały ponieść opłatę w wysokości 10 gr za każdy zmarnowany kilogram.

W efekcie, jak zauważa Konarzewski, sieci ograniczają ilość żywności na półkach lub stosują promocje, by je sprzedać. Obiektywnie jest to dobry kierunek, ale w wyniku tego FPBŻ odbiera ze sklepów mniej żywności, za to częściej, co zwiększa koszty. FPBŻ finansuje swoje działania ze środków prywat-

nych firm i zagranicznych grantów, a to wsparcie niestabilne. – Oplacamy powierzchnie magazynowe, wózki widłowe, paliwo do samochodów, magazynierów... Abyśmy byli spokojni, że możemy funkcjonować, powinniśmy mieć stałe źródło dofinansowania, najlepiej państwowe – uważa Konarzewski.

Z przeprowadzonego przez FPBŻ w 2021 r. badania wynika, że w Polsce wyrzucamy rocznie prawie 5 mln ton żywności, z czego prawie 3 mln (60 proc.) wyrzucają gospodarstwa domowe. Przy tamtych cenach oznaczało to średnio 2,5-3 tys. zł w skali roku na gospodarstwo.

– Czy to możliwe, że w śmietnikach przy sieciach handlowych leżą produkty przed obiema datami podanymi na opakowaniach? – dopytuje. Przedstawiciel FPBŻ jest zaskoczony. Nie słyszał, by sklepy wyrzucały produkty nieprzetworzone. Powinny one trafić do FPBŻ lub innej organizacji pomocowej. Chyba że zostało rozerwane opakowanie albo w sklepie była awaria prądu i produkty z lodówki miały przerwany ciąg chłodniczy.

Federacja Polskich Banków Żywności współpracuje z wieloma firmami, m.in. z siecią Lidl, z którą prowadzi od kilku lat działania edukujące klientów, i z siecią Auchan, gdzie przy kasie można wpłacić mikrododatek na rzecz banków żywności. – Za jedną złotówkę wpłacaną na nasze konto możemy uratować 2,5 kg żywności, co przekłada się na sześć posiłków – mówi Konarzewski.

BIEDRONKA ODDAJE NAJWIĘCEJ

O ilość wyrzucanej i oddawanej na cele charytatywne żywności zapytałam dziewięć popularnych sieci handlowych (Biedronka, Lidl, Carrefour, Żabka, Tesco, Netto, Auchan, Kaufland, Intermarché). Dwie odpowiedziały, że mają za mało czasu na udzielenie odpowiedzi (Żabka, Tesco), jedna nie odpowiedziała wcale (Carrefour). Pozostałe wypowiedziały się szeroko, przekonując, że robią wszystko, by marnować jak najmniej.

Biedronka przekazuje organizacjom żywność z krótkim terminem przydatności od 2016 r., Auchan od 2014 r., Lidl Polska już od 2002 r. Współpracują przede wszystkim z Federacją Polskich Banków Żywności i Caritas Polska, ale też z innymi organizacjami (to m.in. Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta, Monar, Polski Czerwony Krzyż).

Ile żywności przekazują? Według danych z 2021 r., które otrzymałam, najlepiej wypadła tu Biedronka, która oddała wtedy prawie 15 tys. ton żywności o wartości 156 mln zł. Na drugim miejscu jest Netto (niespełna 5 tys. ton żywności za 32 mln zł w 2022 r.). Auchan w tym samym roku przekazał ponad 135 ton żywności za 9,8 mln zł, a Lidl ponad 67 ton żywności za 1,7 mln zł. Kaufland szacuje, że w ciągu ostatniego roku przekazał żywność za ponad 10 mln zł. Sieć Intermarché nie udostępniła danych o żywności przekazanej organizacjom pożytku publicznego.

Tylko dwa sklepy odpowiedziały mi wprost na pytanie, ile ton żywności co roku wyrzucają. Sklepy Netto (w Polsce pod koniec 2022 r. było ich ok. 660) wyrzucają średnio 10 ton żywności na sklep (co daje 6,6 tys. ton wyrzuconej żywności na całą sieć, czyli o 1,8 tys. ton więcej niż żywności przekazanej organizacjom). Sklepy Auchan (70 hipermarketów i 32 supermarkety) w 2022 r. poddały utylizacji łącznie 5,3 tys. ton (3,3 tys. ton odpadów z kategorii bio, czyli owoców i warzyw, i 2 tys. ton odpadów pochodzenia zwierzęcego). Jak informuje mnie przedstawicielka sieci Hanna Bernatowicz, od początku 2023 r. najwięcej wyrzuca się tu bananów, pieczarek i papryk, z kolei prawie nie wyrzuca się drobiu, mięsa i ryb.

„Freeganie nie znajdują żywności w kontenerach przy naszych sklepach, ponieważ nie wyrzucamy

jej, ale przetwarzamy na inne surowce, przez co przeciwdziałamy marnotrąwieniu” – deklaruje Lidl Polska. O tym, jakie to mogą być surowce, dowiaduję się od sieci Auchan. I tak z odpadów spożywczych produkowane są: mączka mięsno-kostna (stosowana w rolnictwie i hodowli zwierząt) i tłuszcze utylizacyjne (np. gliceryna, przydatna w przemyśle farmaceutycznym i kosmetycznym), a odpady bio (owoce i warzywa) i pieczywo trafiają do biogazowni, gdzie są poddawane procesom fermentacji, a z ich odpadów powstaje kompost służący jako nawóz i biogaz (do ogrzewania tych instalacji).

Wszystkie sieci zapewniają, że ich kontenery są zabezpieczone, a osoby postronne nie mają do nich dostępu. Gdyby to jednak miało miejsce, ich pracownicy w trosce o bezpieczeństwo takich osób powinni zwrócić im uwagę i „nie pozwolić, aby te produkty były zabierane”.

ZDJĄĆ ZWIERZĘTA Z TALERZA

Anna Spurek, szefowa think tanku Green REV Institute (organizacja lobbująca w Unii Europejskiej za „zieloną transformacją systemu żywnościowego”), zaznacza, że marnotrąwstwo to problem głębszy niż mylenie dat „best before” i „use by”. – Przede wszystkim nie powinniśmy go postrzegać jako winy konsumentów, ale przemysłu i całego, wadliwego systemu żywnościowego – zaznacza.

Chodzi o to, że sieciom handlowym opłaca się produkować nadmiar żywności, by dać konsumentowi odpowiednio szeroki wybór. W efekcie na półki trafia masa rzeczy, których nie potrzebujemy.

Spurek zwraca uwagę na marnowanie żywności już na etapie jej produkcji, szczególnie w przemyśle mięsny, jajczarskim i mleczarskim. – Nikt nie zbiera danych o tym, ile zwierząt umiera na tym etapie. Ile umiera w transporcie. A w Polsce transportujemy ponad miliard kurczaków, są przewożone dwukrotnie: do fermy i do rzeźni. Marnowaniem jest także to, że 70 proc. zbóż przeznaczamy dla tzw. zwierząt hodowlanych. A jednocześnie 900 mln ludzi na świecie głoduje. System oparty na produkcji zwierzęcej to marnowanie zasobów, klimatu i życia zwierząt – mówi Spurek.

Green REV Institute lobbuje w Unii Europejskiej za „zdjęciem zwierząt z talerza”. Ale też apeluje o zastrzeżenie kar dla sieci handlowych, które nie zawarły umowy na nieodpłatne przekazywanie żywności organizacjom pozarządowym (dziś to tylko 5 tys. zł grzywny), i za niewniesienie opłaty za marnowanie żywności (dziś to od 500 do 10 tys. zł), a także o uczenie w szkołach, jak przeciwdziałać marnowaniu żywności, oraz o „zakaz podejmowania działań mających na celu czynienia niesprzedanych towarów niezdatnymi do spożycia”.

Przypominam tu sobie wizję Wiktorii, że natrafi w kontenerze na jedzenie posypane trutką na szczyry. Oraz opowieści innych freegan, które czytałam w grupkach na Facebooku. Ania z Gniewu opowiedziała na przykład, jak przeglądając kontener, natrafiła na żywność polaną szamponem. Jest przekonana, że to było celowe: był rozlany bardzo równomiernie. Monika opowiadała o rozlanym w ten sposób wybielaczu. Nieraz słyszała też, że pracownicy rozsypują w kontenerach proszek do prania, jeśli tylko uszkodzi się opakowanie.

Takie opowieści zraziły Monikę do skipowania. Ale też nie dziwi się pracownikom. – Mieszkałam kiedyś obok Tesco, w którym śmietniki były otwarte, a pracownicy byli tak dobrzy, że wystawiali żywność w skrzynkach na ziemi, nie wrzucali do kubłów. Problem w tym, że tam się robił zawsze tłum ludzi, którzy aż się bili o te rzeczy. Dlatego pracownicy zaczęli je niszczyć i wywalać do kontenera. Żeby był spokój. I mają spokój teraz. ●

• **Ratowniczk**
Foodsharing
Warszawa:
Monika Siek
i Anna
Przybecka

FOT. ADAM STEPIEN
/ AGENCJA WYBOR-
CZA.PL



ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER REPORTERSKI

Historie, których nie da się zapomnieć

wyborcza.pl/newslettery



Wolność debaty czy negacjonizm

CZY HITLER WIE Holok

Też „nie ma dowodu, że przywódca III Rzeszy wiedział o Zagładzie” Korwin-Mikke prezentował publicznie wiele razy. Między innymi na antenie radiowej Trójki w 2014 r.: – Jest nagroda pół miliona funtów dla człowieka, który wskaże cię dowodu, że Adolf Hitler wiedział o Holokauście... – zaczął.

Faktycznie nagroda nie „jest”, ale „była” i wynosiła tysiąc funtów, a ustanowił ją jeszcze w latach 70. brytyjski historyk – negacjonista (wedle polskiego prawa – „kłamca oświęcimski”) David Irving, który za głoszenie swych tez przesiedział na początku wieku 12 miesięcy w austriackim więzieniu. Dziś miałby kłopot nawet z wypłaceniem tej skromnej sumy, ponieważ jest bankrutem obciążonym licznymi długami. Zrujnował go przegrany proces z amerykańską historyczką Deborah Lipstadt, autorką książki „Denying the Holocaust”, która określiła go mianem „zwolennika Hitlera”, co potwierdził brytyjski sąd.

Korwin-Mikke w Trójce dalej: – Istnieje ogromna możliwość, że Hitler o Zagładzie nie wiedział. Znamy nawet taką słynną wypowiedź Reichsführera SS Heinricha Himmlera, który powiedział do swego adiutanta: „Zrobiłem coś strasznego, ale imię Hitlera pozostanie nieskalane”. Z tego można by wnioskować, że on po prostu nie raczył poinformować szefa, a przywódca kraju wie tyle, co piszą gazety, zaś w gazetach o Holokauście nie pisano.

W kolejnych latach Korwin-Mikke powtarzał te słowa m.in. na antenie Superstacji i na łamach tygodnika „Do Rzeczy”, gdzie stwierdził, że „mordowanie milionów ludzi nie było celem Hitlera i nie ma chociaż jednego zdania, które będzie świadczyć o tym, że wiedział o eksterminacji Żydów. Gdyby dziś stanął przed sądem, musiałby zostać uniewinniony”.

PIERWSZY PROCES – WYBORCZY

Próbie pociągnięcia ówczesnego prezesa Kongresu Nowej Prawicy do odpowiedzialności za powyższe zdania podjęli przed eurowyborami w 2014 r. politycy konkurencyjnej Polski Razem – partii Jarosława Gowina. Pełnomocnik jego komitetu dr Grzegorz Kądziałowski złożył w trybie wyborczym wniosek o „zakazanie kandydatowi na europosła Januszowi Korwin-Mikkemu rozpowszechniania nieprawdziwej informacji, jakoby nie było dowodu, że Adolf Hitler wiedział o Holokauście”. Do pozwu mecenas dołączył kopie stron z trzech książek. W pierwszej, wydanej w Niemczech w 1996 r. pod tytułem „W Auschwitzu nikogo nie zagazowano. 60 ultraprawicowych kłamstw i jak się je obala” niemiecki historyk dydaktyk (także autor książek dla młodzieży) Markus Tiedemann przytacza wypowiedź Hitlera z lutego 1942: „Największa rewolucja, jaka kiedykolwiek

Warszawski sąd rozstrzyga spór między honorowym prezesem Konfederacji Januszem Korwin-Mikkem a wydawcami prorządowego serwisu wPolityce.pl – braćmi Karnowskimi i ich autorem Jakubem Maciejewskim

miała miejsce na świecie: Żyd zostanie rozpoznany! Wiele chorób powstaje z tego samego zarazka: Żyda!! Będziemy zdrowi, jeżeli Żydów wyeliminujemy”.

Książka druga to autobiografia Rudolfa Hössa „Komendant w Oświęcimiu”, którą SS-Obersturmbannführer napisał, czekając w krakowskim więzieniu Montelupich na proces (dostał karę śmierci wykonaną w obozie Auschwitz-Birkenau w kwietniu 1947 r.). Fragment dołączony do pozwu Polski Razem: „W lecie 1941, nie jestem w stanie podać dokładnej daty, zostałem nagle wezwany do Reichsführera SS do Berlina i to bezpośrednio przez jego adiutanta. Himmler wyjawiał mi mniej więcej: Führer nakazał ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego, a my, czyli SS, musimy wykonać ten rozkaz”.

Książka trzecia to wydany również w Niemczech w 1991 r. „Protokół Eichmanna. Nagrania z przesłuchań izraelskich” autorstwa Jochena von Langga. Wypytywany przez żydowskich śledczych przed procesem w Jerozolimie SS-Obersturmbannführer Adolf Eichmann (miał ten sam stopień co Höss) wyznał, że pewnego dnia – daty nie podał – został wezwany do szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Reinharda Heydricha. „Zameldowałem się, a on mi powiedział, że Führer nakazał fizyczną eksterminację Żydów”.

Powyższe załączniki do pozwu nie wystarczyły. 22 maja 2014 warszawski sąd okręgowy uchylił się od rozpoznania sprawy wniesionej przez komitet Gowina, podając powód formalny: wypowiedzi Korwin-Mikkiego o Hitlerze nie miały charakteru wyborczego. Pełnomocnik Polski Razem złożył więc apelację, która winna być rozpatrzona w ciągu 24 godzin. Stołeczny sąd apelacyjny zwyczajnie tego nie zrobił. Sprawa na siedem lat przygasa...

NIE BRONIĘ SIEBIE

...aż tu 4 maja 2021 autor tygodnika „Sieci” Jakub Maciejewski zamieścił w serwisie braci Jacka i Mi-

chała Karnowskich wPolityce.pl tekst pt. „Są liczne dowody na to, że Hitler wiedział o Holokauście. Dlaczego więc Janusz Korwin-Mikke twierdzi, że jest inaczej?”.

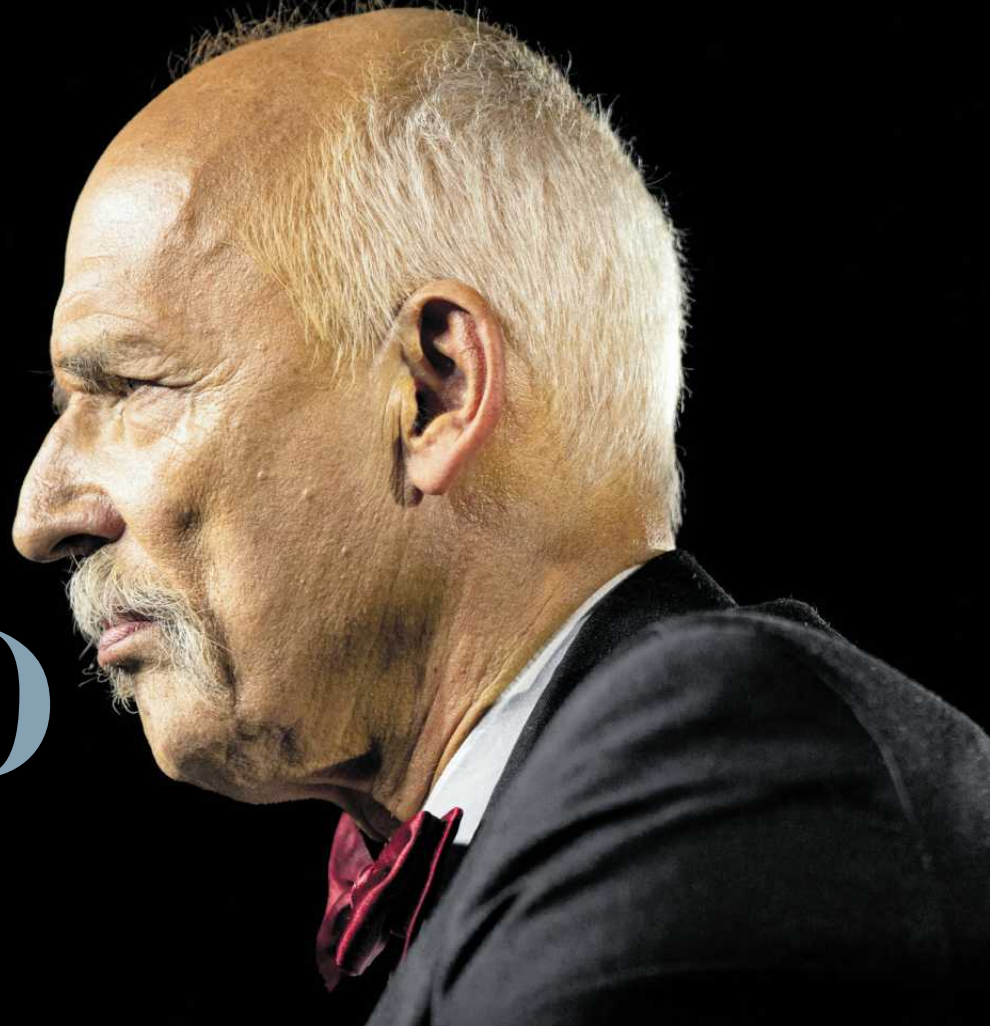
Fragmenty: „Słowa: »Nie ma dowodu, że Hitler wiedział o Holokauście« są antypolskim kłamstwem, które w formie przebojowego gadżetu rozmywa ostrość odpowiedzialności historycznej Niemców i angażuje część wyborców w intelektualną pułapkę. (...) Na czym polega pułapka zawierzenia Korwin-Mikkemu? Podobnie jak z lewicowymi dogmatami – złożenie ideowego wyznania wiary angażuje emocjonalnie, a (...) z wyznawcy czyni zakładnika. Skoro już przyznałeś, że istnieje 55 plci albo że Hitler nie wiedział o Holokauście (...), to już nie masz wyjścia, musisz tkwić w raz przyjętych założeniach. Albo rozwijasz abstrakcyjne teorie w swojej bańce informacyjnej, albo przyznajesz się do błędu – a to zawsze sporo kosztuje. Rzecz jasna polityka kontrowersji (...) pozwala się przebić w mediach, a jednak przełamanie granic absurdu jest już szkodliwe społecznie. Czy chcielibyśmy polityka-płaskoziemca?”.

Rok po publikacji Korwin-Mikke, teraz już poseł na Sejm i prezes partii swojego imienia – Koalicji Odnowy Rzeczypospolitej Wolność i Nadzieja – złożył w warszawskim sądzie okręgowym pozew przeciwko Maciejewskiemu i spółce wydawniczej Fratria. Zażądał usunięcia artykułu z sieci i 50 tys. zł zadośćuczynienia za „ośmieszenie i podważenie zaufania do jego osoby w oczach społeczeństwa”. Proces już się rozpoczął.

– Wiele gazet pisze o panu nieprzychylnie i wiele nazywa pańskie wypowiedzi, na przykład o niższej inteligencji kobiet, skandalicznymi, głupimi, bzdurnymi... Dlaczego wytoczył pan działą akurat w sprawie tego artykułu? – pytam posła.

– Bo zobaczyłem szansę łatwego zarobienia pieniędzy z odszkodowania. Poza tym, gdy wygram, zostanie urzędowo potwierdzone, że Hitler o Holokauście nie wiedział.

DZIAŁO auście?



– Cemu panu na tym zależy? Na wybielaniu zbrodniarza...

– Ja go nie wybielam! Hitler powinien zostać powieszony choćby za to, co zrobił Polakom. Natomiast od zarzutów o udział w Holokauście każdy uczciwy sąd musiałby go uniewinnić, co już powtarzałem.

– A Höss piszący o słowach Himmlera, któremu Führer nakazał „ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego”?

– On słyszał od Himmlera, że ten słyszał od Hitlera... To nie jest żaden dowód, tylko relacja z trzeciej ręki.

– A Eichmann, któremu Heydrich przekazał, że „Führer nakazał fizyczną eksterminację Żydów”?

– Heydrich to nie jest wiarygodne źródło. Eichmann tym bardziej, szczególnie że siedząc w kowie w Izraelu, miał interes w wybielaniu się kosztem Hitlera...

– Nie boi się pan, że wytaczając proces poniekąd w obronie Hitlera, sam się pan ubrudzi? Holokaustowy kontekst sprawia, że może się tu rozejść brzydka woń antysemityzmu.

– Jeżeli mi przylepią łatkę antysemity, to i tak dobrze dla mnie, bo dostanę głosy prawdziwych antysemitów, których są w Polsce miliony. A chyba lepiej, żeby tacy głosowali na mnie, niż mieliby głosić na antysemicie autentycznego?

– Którym pan nie jest.

– Oczywiście, że nie. Gdy byłem deputowanym w Parlamencie Europejskim i jakiś anglojęzyczny dziennikarz mnie o to zapytał, pogoniłem faceta ze schodów.

– Ale teraz niemiecko-, francusko- i anglojęzyczni dziennikarze napiszą: poseł polskiej ultraprawy broni Hitlera przed zarzutem o zagładę Żydów.

– Uwielbiam, jak o mnie źle piszą. Churchill mówił: „Gdy gazety cię krytykują, znaczy, że czynisz słusznie”.

– Maciejewski napisał o panu źle i ma proces...

– Pan nic nie rozumie! Gdyby on napisał: „Korwin-Mikke to szuja i skurwysyn”, żadnego procesu by nie miał, bo to by była opinia. A tutaj chodzi o fakt historyczny: czy Hitler wiedział, czy nie? Ja twierdzę, że nie ma dowodu, aby wiedział, i bronię tego twierdzenia, a nie swojej osoby.

NOWY POZEW: CHODZI O WOLNOŚĆ DEBATY

– Dlaczego pan w ogóle napisał taki tekst akurat w 2021 roku? – pytam Maciejewskiego. – Przecież Korwin-Mikke powtarza te swoje tezy od dwóch dekad...

FOT. AP. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

– Na pierwszej rozprawie sąd też mnie o to dopytywał, dlatego nie mogę panu odpowiedzieć, bo nie chcę zdradzać naszej strategii procesowej. Ciekawsze jest: dlaczego Korwin-Mikke pozwał nas dopiero rok od publikacji, już po wybuchu wojny na Ukrainie?

– Dlaczego?

– Każdy widzi, że on się bardzo zaktywizował w związku z wojną. Głosi tezy zbieżne z rosyjską dezinformacją, która mówi o ukraińskich banderowcach i faszystach, a także o odradzaniu się faszyzmu w Polsce. I tu nagle dostajemy pozew polskiego polityka w obronie Hitlera. To zastanawiające...

Powództwo w imieniu J.K.M. złożył w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga mecenas Andrzej Ceglarski, członek władz stołecznej izby adwokackiej i wykładowca akademicki. Ujął problem tak: „W debacie społeczno-politycznej na temat przywódcy III Rzeszy (...) prezentowane są dwa zasadnicze stanowiska. Jedno, które reprezentuje powód, odnosi się do okoliczności niezachowania w dostępnym materiale dowodowym namacalnego dowodu na wiedzę Adolfa Hitlera o Holokauście. Drugie prezentuje np. biograf Führera prof. Ian Kershaw, który wskazuje na jego sprawczość w budowaniu państwa nazistowskiego, bez czego Holokaust nie byłby możliwy. Stanowiska te nie są bynajmniej wykluczające (...).

Swoboda debaty historycznej, której powód jest od lat czynnym uczestnikiem, powinna mieć wartość nadrzędną. Na takim stanowisku stanął Sąd Najwyższy, przyjmując, że publikowanie wypowiedzi na temat postaci historycznych stanowi przejaw dopuszczalnego korzystania z wolności wypowiedzi także wtedy, gdy są one kontrowersyjne i niezgodne z dominującą wersją wydarzeń”.

O co chodzi z tym SN? O sprawę CK 329/02, którą najwyższa instancja rozpatrywała w lutym 2004. Rzeczą dotyczyła książki o „żołnierzach wyklętych” pt. „Zaporczycy”. Związana z prawicą historyczka Ewa Kurek napisała w niej m.in. o prominentnym członku delegatury rządu londyńskiego i żołnierzu AK (po wojnie działaczu zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, jeszcze później znanym adwokacie) Władysławie Sile-Nowickim pseudonim „Stefan”. Wedle książki Kurek Siła-Nowicki rzekomo wydał towarzyszy Urzędowi Bezpieczeństwa PRL. Ta teza oburzyła potomków mecenasa. Sąd Najwyższy przyznał im rację i utrzymał w mocy wcześniejsze orzeczenie sądu lubelskiego nakazujące autorce przeprosiny – bo Siła-Nowicki zdrajcą nie był, o czym można się było przekonać, docierając do źródeł, które Kurek zlekceważyła. Przy okazji jednak troje sędziów SN (Tadeusz Żywnowski, Elżbieta Skowrońska-Bocian, Mirosława Wysocka) uznało, że samo przedstawienie „Stefana” jako negatywnego bohatera „Zaporczy-

ków” jest dopuszczalne w ramach literackiej beletryzacji autentycznej historii – i tak sprawa dr Kurek znalazła się w pozwie J.K.M., do którego mecenas Ceglarski dołączył jeszcze artykuł historyka Romana Sidorskiego z portalu Histmag.org. Tytuł: „Czy Hitler nie wiedział o Holokauście?”.

PRZEPOWIEDNIA Z REICHSTAGU

Sidorski pisze: „Dokument, który zawierałby wydany przez Führera rozkaz wymordowania Żydów znajdujących się w niemieckiej strefie wpływów, rzeczywiście nie istnieje. Fakt ten nie wystarczy jednak, by rozstrzygnąć całą sprawę i odpowiedzieć na pytanie, czy Hitler wiedział o Holokauście. (...)”

Wiele wskazuje na to, że przynajmniej do lata 1941 roku najwyższe władze III Rzeszy planowały wywiezienie Żydów na Madagaskar, a następnie – po spodziewanym pokonaniu ZSRR – na syberyjskie pustkowia. Gdy zorientowano się, że jedno i drugie nie będzie szybko możliwe, zaczęto poszukiwać sposobów usunięcia Żydów jeszcze w czasie trwania wojny i na terenie opanowanym już przez Niemcy. Po okresie prób i zastosowaniu różnych doraźnych rozwiązań, w pierwszej połowie 1942 roku wykrył się rozmiar rozwiązania w postaci komór gazowych, [jednak] pisemny rozkaz wymordowania Żydów nie został nigdy wydany nie tylko przez Hitlera, ale również Himmlera czy kogokolwiek innego. Cały proces dokonał się stopniowo, a jego poszczególne etapy otrzymywały samodzielną akceptację, najczęściej ustną. [Niemniej] Hitler w niezliczonych, pełnych nienawiści wystąpieniach porównywał Żydów do pasożytów lub zarazków i mówił o konieczności ich unicestwienia. Szczególnie ważne jest przemówienie, jakie wygłosił 30 stycznia 1939 roku w Reichstagu: »Dzisiaj raz jeszcze przepowiem przyszłość: jeśli międzynarodowym żydowskim finansistom z Europy i spoza niej uda się jeszcze raz pogrążyć narody w wojnie światowej, to skutkiem nie będzie bolszewizacja ziemi, a tym samym zwycięstwo żydostwa, lecz unicestwienie rasy żydowskiej w Europie!«.

W grudniu 1941 roku – pisze dalej Roman Sidorski – wódz III Rzeszy oznajmił szefowi SS Himmlerowi, że Żydzi na Wschodzie mają zostać eksterminowani, [zaś] 28 lipca 1942, gdy ostateczne rozwiązanie było już w toku, Himmler napisał w ściśle tajnym liście do SS: »Okupowane wschodnie terytoria są uwalniane od Żydów. Führer na moich barkach złożył realizację tego bardzo trudnego rozkazu (...)«.

Po wojnie osobisty adiutant Hitlera Otton Gün- sch oraz kamerdyner Heinz Linge twierdzi- li, iż Führer rozmawiał z Himmlerem także

PIOTR
GLUCHOWSKI



Korwin-Mikke: Zobaczyłem szansę łatwego zarobienia pieniędzy z odszkodowania

o szczegółach prac nad wdrożeniem komór gazowych. Osoby takie jak Adolf Eichmann, jego zastępca Dieter Wisliceny czy komendant Auschwitz Rudolf Höss również utrzymywały, że działały z polecenia dyktatora. Wiarygodność tych świadectw w różnych kwestiach jest podważana ze względu na (...) chęć usprawiedliwienia samych siebie, niemniej zgodność w kwestii wiedzy i odpowiedzialności Hitlera jest godna odnotowania”.

Tyle w tekście z portalu Histmag.org. Wracamy do procesu.

ODPOWIEŹ POZWANEJ FRATRII

Latem ub.r. pozew Korwin-Mikkego został przyjęty, a praski sąd wezwał stronę pozwaną do udzielenia odpowiedzi. Tę sformułował w imieniu Fratрии i Maciejewskiego adwokat Dariusz Pluta – specjalista od prawa prasowego i ochrony dóbr osobistych. Zawniósł o odrzucenie powództwa bez procesu jako „oczywiście bezzasadnego”, a w przypadku, gdyby sąd się na to nie zgodził – o przesłuchanie autora tekstu (co już nastąpiło) i prof. Bogdana Musiał, specjalisty od historii Niemiec (co ma nastąpić podczas najbliższej wokandy tego lata).

Dlaczego akurat prof. Musiał? Ponieważ jeszcze w 2021 r. udzielił Maciejewskiemu wywiadu na interesujący nas temat. I powiedział: „[Chociaż] nie ma podpisu Adolfa Hitlera pod dokumentem związanym z Holocaustem, [to jednak] są liczne rozporządzenia, które powołują się na Führera, co nie było przecież przypadkowe ani bezwiedne. (...) Hitler był specyficznym biurokrata, ponieważ wydawał polecenia ustnie. Himmler, reżyser Holocaustu, na bieżąco spisywał harmonogram tego ludobójstwa, gdzie pod konkretnymi datami wspomina o rozmowach z Führerem na ten temat”.

Mecenas Pluta dalej w odpowiedzi na pozew: „Biorąc pod uwagę powyższe, powództwo jest nadużyciem prawa (...), a w aspekcie aksjologicznym i intelektualnym – naruszeniem zasad współżycia społecznego i dobrych zwyczajów. Proces i sala sądowa nie są miejscem do rozstrzygania kontrowersji historycznych (...). Powód, składając pozew, usiłuje wciągnąć sąd w dyskusję, która ma prowadzić do negacjonizmu. Jest to pomysł powoda na uzyskanie prawnej podstawy dla negacjonistycznych twierdzeń, których podstawą miałyby być wyrok stwierdzający naruszenie dóbr osobistych powoda (...).

Od dawna uczestnicy debaty publicznej mieli trudności z adekwatnym określeniem szeregu nieetycznych wypowiedzi powoda, np. że kobiety powinny mieć prawa wyborcze dopiero po 55. roku życia, a skrót LGBT należy rozszerzyć o literę Z (zoofile), którego to skrótu LGBTZ powód zresztą publicznie używa. [Tego typu zdania] ostrożnie nazywano szokującymi, kontrowersyjnymi, obrazoburczymi etc. (...) Powód będący specyficzną atrakcją medialną, która może zapewnić dużą oglądalność (klikalność), wypracował sobie pozycję oryginała, któremu na sucho uchodzi to, co każdego innego polityka (...) odesłałoby w całkowity niebyt.

Wśród wymienionych kontrowersyjnych tez powoda poczesne miejsce zajmuje twierdzenie, iż nie ma dowodów, że Adolf Hitler wiedział o Holokauście. [W ten sposób] powód bezgranicznie korzysta ze zdobyczy systemu demokratycznego, którego nie szanuje, którym gardzi i politycznie go zwalcza. Jednocześnie dąży do pozbawienia innych [prawa do krytyki].

Bardzo istotnym jest, że na temat wypowiedzi powoda o kobietach, mniejszościach seksualnych [i Hitlerze] wypowiedziała się w 2021 komisja etyki

poselskiej, która uznała je za nieetyczne i zastosowała regulaminową sankcję: upomnienie. Tu podkreślić należy, że powodem krytyki red. Maciejewskiego były te same wypowiedzi powoda, którymi zajmowała się komisja etyki”.

Zajrzyjmy do protokołu jej posiedzenia z 28 października 2021.

HITLER NIE INTERESOWAŁ SIĘ DROBIAZGAMI?

Przewodniczący Jan Łopata (PSL): – Rozpatrujemy skargę Stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita dotyczącą wpisu posła Janusza Korwin-Mikkego na Twitterze: „Bez wahania skazałbym Hitlera na śmierć, bo jestem zwolennikiem kary śmierci, ale akurat za Holocaust musiałbym go uniewinnić”.

J.K.M.: – Kto konkretnie napisał skargę?

Przewodniczący: – Pan Damian Wutke, sekretarz zarządu Stowarzyszenia.

J.K.M.: – Czy szanowna komisja mogłaby odpisać panu Wutke, żeby się stuknął w głowę? Nie ma żadnego dowodu, czy Hitler wiedział o Holokauście, czy nie wiedział. Istnieje natomiast bardzo poważne przypuszczenie, że świętej pamięci Himmler nie raczył powiadomić szefa, że urzędują Zagładę. I tyle.

Przewodniczący: – Hitler nie powiadomił Himmlera?

J.K.M.: – Nie, odwrotnie. Himmler nie powiadomił Hitlera. Mam w domu dzieło generała [Władysława] Andersa o wojnie niemiecko-sowieckiej [chodzi o wydaną w Londynie „Klęskę Hitlera w Rosji 1941–1945”]. W pierwszym rozdziale jest napisane, że Hitler nie życzył sobie oddziałów pomocniczych składających się ze słowiańskich podludzi. W rozdziale przedostatnim jest z kolei informacja, że pod koniec wojny dowiedział się ze zdumieniem, iż ma do dyspozycji dywizję RONA [chodzi o 29. Waffen-Grenadier-Division der SS zwaną Rosyjską Wyzwoleńczą Armią Ludową] i galicyjską [ukraińską]. Jeżeli więc naczelny dowódca nie wiedział przez trzy lata, że ma w armii obce dywizje, to równie dobrze mógł nie wiedzieć o Holokauście.

On się nie interesował takimi drobiazgami. Wszystkie rozkazy wydawał Himmler.

W trakcie dalszej dyskusji posłanka Lewicy Monika Falej opowiedziała się za karą dla J.K.M., sprzeciwił się jednak poseł PiS z Wrocławia Jacek Świat, z zawodu polonista:

– My nie jesteśmy od oceniania poglądów – zaczął. – Pan poseł Korwin-Mikke nie zaprzecza, że Holocaust był faktem i że była to straszliwa zbrodnia. Twierdzi jedynie, że Hitler o niej nie wiedział. W przekonaniu moim i większości historyków taka opinia to bzdura, ale taki jest pogląd pana posła. Nie widzę tutaj złamania prawa, a zatem nie widzę też zadania dla naszej komisji.

Ponadgodzinne posiedzenie zakończyło się, jak już wiemy, najmniej dotkliwą karą regulaminową: upomnieniem.

REPLIKA W SPRAWIE WOLNOŚCI SŁOWA

Po tym, gdy sekretariat praskiego sądu dostarczył Korwin-Mikkemu odpowiedź Fratрии na pozew, reprezentujący J.K.M. mecenas Ceglarski napisał jeszcze replikę dotyczącą parlamentarnego upomnienia:

„Nagana od komisji etyki poselskiej nie może być argumentem [w niniejszym procesie], ponieważ powód należy do małego koła poselskiego [Konfederacji], które jest zwalczane przez siły dominujące w parlamencie. Sąd nie powinien się przyłączać do tych sił.

Poza tym Ian Kershaw pisze w książce »Hitler, Niemcy i ostateczne rozwiązanie«, że podczas konferencji [organizatorów Holocaustu] w Wannsee [sekretarz Kancelarii Rzeszy] Wilhelm Kritzinger jako jedyny z zebranych wyrażał wątpliwości co do projektu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, jako że Hitler zapewnił go, iż drastyczne środki nie będą zastosowane. Reinhard Heydrich odpowiedział, że Hitler oficjalnie nie popiera takiej polityki, jednak podjęta w sekrecie decyzja wymordowania Żydów obliuguje Kritzingera do poparcia projektu nawet bez pisemnego rozkazu Hitlera”.

Dwa ostatnie zdania pełnomocnik J.K.M. skopiował metodą kopiuj-wklej z Wikipedii. Dalszy ciąg repliki:

„Nasze roszczenie (oddalenie pozwu) nie zmierza do rozstrzygnięcia przez sąd prawdy historycznej – przeciwnie: zmierza do ochrony wolności słowa. (...) Powód nigdy nie powiedział, że Hitler nie odpowiada za Holocaust, a nawet nie powiedział, że nigdy nie będzie dowodów, iż wiedział o Holokauście. Twierdzi tylko, że obecnie nie ma [takiego] dowodu.

Powód jest nestorem polskiej polityki, kontynuatorem myśli politycznej Stefana Kisielewskiego, dla wielu jest największym żyjącym polskim politykiem o ogromnych zasługach (...). Jako małe dziecko stracił matkę w Powstaniu Warszawskim i nie dąży do zanegowania odpowiedzialności Adolfa Hitlera za cokolwiek, a już na pewno nie za zagładę



• Janusz Korwin-Mikke podczas konwencji programowej Konfederacji. Warszawa, 21 września 2019 r.

FOT. SEAWOMIR
KAMIŃSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL





Żydów. Jest jednak różnica między stwierdzeniem, że nie zachowały się na daną okoliczność żadne dowody, a negowaniem istnienia tej okoliczności”.

Do repliki mecenas Ceglarski dołączył artykuł Edwarda Krzemienia z serwisu OKO.press pt. „Komisja etyki poselskiej – fasada i obłuda” z leadem: „KEP to teatr i sztuka dla sztuki”. Z tekstu wynika, że orzeczenia komisji są pozbawione znaczenia.

GRABOWSKI: ISTNIEJE TESTAMENT

– To jak w końcu jest z tą wiedzą Hitlera o Holokauście? – pytam prof. Jana Grabowskiego, badacza Zagłady z Uniwersytetu w Ottawie (Kanada).

– Jest tak, że wszyscy wyżsi rangą hitlerowcy zaangażowani w Holokaust powoływali się na tzw. Führerbefehl, czyli rozkaz wodza, którego na piśmie nikt nie widział i który najprawdopodobniej nigdy spisany nie został. Wszelkie zapiski Himmlera i Josepha Goebbelsa, w których oni wspominali, że rozmawiali o Zagładzie z Hitlerem, są wielce zawoalowane.

– Czyli Korwin-Mikke ma rację, że jednoznacznego dowodu na wiedzę Führera o Zagładzie nie ma?

– Niech pan przeczyta tzw. testament Hitlera – jego enuncjacje z ostatnich dni w berlińskim bunkrze. On tam mówi o uwalnianiu świata od żydowskiego zagrożenia.

Czytam. Słowa „Żyd” i „żydostwo” pojawiają się w „testamencie” cztery razy:

Pierwszy: „Nieprawdą jest, bym ja lub ktokolwiek inny w Niemczech chciał wojny w 1939 roku. Wojny tej pragnęli i podlegali do niej wyłącznie ci międzynarodowi mężowie stanu, którzy mieli pochodzenie żydowskie lub pracowali na rzecz żydowskich interesów”.

Drugi: „Jeszcze trzy dni przed wybuchem wojny niemiecko-polskiej zaproponowałem brytyjskiemu ambasadorowi w Berlinie rozwiązanie problemów niemiecko-polskich przy udziale międzynarodowego nadzoru. Tej propozycji nie można zaprzeczyć. Odrzucono ją tylko z tego powodu, że decydenci z kręgów polityki angielskiej (...) napędzani propagandą organizowaną przez międzynarodowe żydostwo (...) pragnęli wojny”.

Trzeci: „Nie mam również żadnych wątpliwości, że gdy tylko narody Europy ponownie zostaną potraktowane jako zaledwie pakiety akcji przez tych

spiskowców z międzynarodowej finansjery, właśnie ten naród zostanie pociągnięty do odpowiedzialności – ten, który jest prawdziwym winnym morderczej wojny: żydostwo!”.

Fragment czwarty i zarazem ostatni akapit „testamentu”: „Zobowiązuję przywódców narodu i wszystkich moich zaprzysiężonych stronników do pedantycznego przestrzegania ustaw o czystości rasy i do bezlitosnego oporu wobec podżegaczy [wojennych] – międzynarodowego żydostwa”.

ŻBIKOWSKI: HITLER ZLECIŁ ZAGŁADĘ USTNIE

Dzwonię do Żydowskiego Instytutu Historycznego i do prof. Andrzeja Żbikowskiego, specjalisty od nowożytnych dziejów polskich Żydów. Streszczam, w czym rzecz.

– Tytułowe pytanie jest głupie – odpowiada.

– Hitler oczywiście o Zagładzie wiedział. I on, i jego sekretarz Martin Bormann dostawali chociażby raporty z działań Einsatzgruppen, które jeszcze przed wdrożeniem komór gazowych zabiły pół miliona Żydów na podbitym Wschodzie.

Jest natomiast prawdą, że nie znamy podpisanego przez Hitlera rozkazu przeprowadzenia eksterminacji i nie ma nawet poszlaki, że takowy istniał, choć historycy, nie tylko niemieccy, od lat 60. tego poszukują. Od dawna trwa także spór intencjonalistów z funkcjonalistami, który sprowadza się do odpowiedzi: kiedy wódz Rzeszy wpadł na pomysł wymordowania wszystkich Żydów, czy ktoś mu go podsunął, a on zaakceptował, czy było jeszcze inaczej?

– No dobrze... ale jest w końcu jakiś jednolity stan wiedzy o roli Hitlera w Zagładzie?

– Wszystko zrekapitulował w pracy „Geneza »ostatecznego rozwiązania«” amerykański historyk Robert Browning. Po zwycięstwie nad Sowietami pod Briąńskiem w październiku 1941 Niemcy byli w euforii. Na fali entuzjazmu zrodził się pomysł, aby przeprowadzić, jak to oni określali, „Ausrottung”, czyli wytrzebiecie/wyćpienie żydostwa jeszcze w trakcie wojny. Browning przeszedł drogę decyzyjną. Hitler ustnie zlecił ostateczne rozwiązanie Hermannowi Göringowi, ten dalej Himmlerowi, a Himmler z kolei Odilo Globocnikowi, dowódcy SS i policji w dystrykcie lubelskim.

– Dlatego trzy główne, poza Auschwitz, fabryki zagłady – Majdanek, Sobibór i Bełżec – znajdują się

• **Adolf Hitler w otoczeniu ochroniarzy przybywa do Saarbrücken. Po prawej na pierwszym planie Heinrich Himmler, w następnych latach odpowiedzialny za eksterminację Żydów w Europie. 3 maja 1932 r.**

FOT. AP

na dzisiejszej polskiej ścianie wschodniej i przez to mamy kłopot z „polskimi obozami”...

– Tak. Niezależnie od działań Globocnika, czyli budowy komór stacjonarnych, prowadzono eksperyment z gazowaniem Żydów w samochodach. Najpierw na terenach odebranych Związkowi Sowieckiemu, potem w Chełmnie nad Nerem. Ta metoda była jednak mało wydajna, dlatego ostatecznie zwiększył koncept Globocnika: zwożenie do obozów, gazowanie, palenie w krematoriach.

– A Hitler o komorach wiedział?

– Tego rzeczywiście nie wiemy. Istnieją słynne Tischreden, albo Tischgespräche, czyli spisywane przez współpracowników wynurzenia Hitlera przy obiadach i kolacjach w Wilczym Szańcu i nie tylko tam. Jest w nich dużo o Żydach, jacy oni paskudni, ale o samej technologii Zagłady wódz nie wypowiedział nawet zdania. Nic o obozach, niczego o komorach i krematoriach... Być może celowo nie chciał o tym słyszeć, a może szczegóły go nie interesowały.

GEBERT: ZASTOSUJMY LOGIKĘ

Mam jeszcze ostatni trop: to książka pt. „Ostateczne rozwiązania” Konstantego Geberta, publicysty znanego czytelnikom „Wyborczej” także jako Dawid Warszawski. W rozdziale poświęconym Holokaustowi autor zebrał wszystkie ślady pozostawione przez Führera w interesującej nas kwestii:

„Hitler miał świadomość ogromu dzieła [Zagłady], jakie sobie postawił. Jak pisał już w 1919 roku do innego weterana I wojny światowej Adolfa Gemlicha, »(...) nie można zwalczać choroby bez zabicia jej narządu sprawczego, zarazka (...). Wpływ Żydów nigdy nie przemienie i zaturwanie ludzkości nigdy się nie skończy, dopóki czynnik sprawczy – Żyd – nie zostanie usunięty spośród nas (...)«.

Nie ma jednak przekonujących dowodów – pisze dalej Gebert – na to, że Hitler do wojny kierował się w swoich politycznych decyzjach dążeniem do eksterminacji Żydów. Jego osławione prorocstwo wygłoszone 30 stycznia 1939 w Reichstagu [o zagładzie rasy żydowskiej w Europie] miało jeszcze wymiar bardziej metaforyczny niż konkretny. [Dopiero] w pięć dni po odbytej w Wannsee konferencji, która stworzyła organizacyjne ramy Zagłady, (...) przywódca III Rzeszy zdroworozsądkowo zauważył: »Usuwanie zęba tylko o kilka milimetrów co trzy miesiące nie pomaga; dopiero kiedy zostanie on wyrwany do końca, ból przechodzi«. A mowa była o rozpoczynającym się właśnie ludobójstwie, które zdaniem Hitlera należałoby przeprowadzić tak szybko, jak się da (...). Można by sobie wyobrazić nośne hasło propagandowe: Żydzi to niemiecki ból zęba. Nie wszyscy jednakże widzieli to w ten sposób.

W grudniu 1941 do okupowanej przez Niemców Rygi dotarł transport Żydów z Berlina. Niemcy, wspierani przez litewskich szaulisów, kończyli właśnie dzieło wymordowania 40 tysięcy lotewskich Żydów, ale konieczność zabicia berlińczyków źle wpłynęła na morale wojska. Kilku oficerów złożyło w tej sprawie raport, domagając się poniesienia takich akcji w przyszłości. Jeden z nich, kapitan Otto Schulz-Du Bois, w liście do żony tak opisywał dalsze losy tego dokumentu:

»Raport został przekazany (...) szefowi kontrwywiadu, który miał łatwy dostęp do Führera [i który] przedłożył mu konsekwencje i okropną istotę metod [zabijania Żydów], na co Führer miał odpowiedzieć: – Robi się pan miękki! Muszę to zrobić, bo po mnie nie zrobi nikt!«.

– W pańskiej książce też nie ma bezpośredniego dowodu, że Hitler zlecił Zagładę – mówię do Konstantego Geberta, tłumacząc, o co chodzi w procesie przed praskim sądem. – To jaka ostatecznie jest prawda?

– Logika mówi, że nie da się udowodnić, iż ktoś o czymś nie wiedział. Na brak wiedzy nigdy nie będzie namacalnego dowodu. Można tylko dowodzić, że ktoś wiedział. Ja nie widzę żadnego powodu, dla którego wódz III Rzeszy miałby nie wiedzieć o Zagładzie, skoro wiedział, że Polska jest okupowana, a Niemcy przegrały bitwę na Łuku Kurskim. Żeby stwierdzić na serio, że Hitler nie wiedział o Holokauście, trzeba by postawić tezę, że istniał w III Rzeszy spisek mający na celu przeprowadzenie Zagłady bez zgody i wiedzy wodza. A to jest hipotetycznie wyobrażalne tak samo jak to, że nocą zielone ludziki odwiedzają redakcję na Czerskiej. Inaczej się tego nie da potraktować. ●

Czego nie wiemy o życiu w mieście

DZIESIĘĆ GRAMÓW

Nagle coś kwili na ziemi pod gniazdem z piskletami: dorosła pokrzewka, udając kulawą, ucieka przede mną, kusząc łatwym łupem

Michał Książek

Lot z pokarmem do gniazda to ruch jedyny w swoim rodzaju. Odbywa się po trajektorii troski. Myślę tu o małych ptakach, o sikorach, mazurkach, kopciuskach. Ale też o tych większych – takich jak kos czy sójka, o drapieźnych – jak choćby krogulec. A nawet o owadach. Pełzacz ogrodowy, wróbel i mazurek latają po pokarm dla piskląt na odległość mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Sikora modra pokonuje od pięćdziesięciu do stu. Bogatka w Lesie Bielańskim – średnio sto metrów, szpak nawet pięćset. Mewy potrafią przynieść jedzenie z wysypisk śmieci oddalonych o kilka kilometrów od gniazda, w jeszcze dłuższą drogę wybiera się niekiedy sokół wędrowny. Jednak nikt nie pobije jerzyków, którym zdarza się szukać jedzenia setki kilometrów od domu. Aby zdobyć pokarm dla młodych, potrafią ot tak polecieć z Warszawy do Sztokholmu.

Sikora modra posila się wśród młodych i miękkich jeszcze liści lipy. Jej sposób poszukiwań przypomina kontrolowane spadanie: zgrabnym zeskokom towarzyszą artystyczne machnięcia skrzydeł. I tak aż po dolne partie korony, coraz bliżej, na wyciągnięcie ręki. Zabawnie obserwować, jak stojąc na jednej łapie, drugą przyciąga sąsiedni liść. Ogląda go dokładnie od dołu do góry w poszukiwaniu złóż owadzych jaj. Pomagają jej w tym wyspecjalizowane oczy, którymi widzi jak przez lupę. Pod jednym z listków znajduje gąsienicę. Nie polyka od razu – co zapowiadał jej zapach – lecz przytrzymując ją między palcami, wyjada metodycznie od środka. Jakby jadła prosto z opakowania. Podnoszę porzuconą skórki i rozgniatam między językiem a podniebieniem. Zrazu smakuje niezłe, dopiero potem daje się wyczuć gorzkawy smak. Czyżby z tego powodu ptak zostawił tyle jedzenia?

Spędzamy tak razem blisko dwadzieścia minut. Nagle sikora startuje w stronę zejścia do stacji metra i znika w rogu parku. Biegnę jej śladem, potrącając przechodniów i plosząc gołębie na deptaku. Czas najwyższy: modraszka siedzi u wlotu do dziupli, by za moment dać w nią nura. Dziupla czernieje w wierzchołku lipy, na wysokości pięciu metrów, doskonale ukryta pośród liści. Obserwuję to wszystko, stojąc w ciżbie pasażerów i przechodniów na przystanku autobusowym Metro Świętokrzyska 03.

Po chwili ptak niebieszczy się już na sąsiednim drzewie. Zdradza dużą ruchliwość, jak gdyby bogata choreografia pozwalała mu obserwować liście z różnych perspektyw, jak gdyby łatwiej było ruszyć ciałkiem niż głową. Coś uważnie studiuje: to przykład, to odsuwa oko od powierzchni szerokiego liścia. Jedno mrugnienie i jest już w dziupli z powrotem.

A zatem rodzic, który karmi młode. Wiem – bo wlaź do środka cały. Gdyby to był samiec, który dokarmia samiczkę wysiadującą jajka, co sikory mają w zwyczaju, podałby jej pokarm z zewnątrz albo wywabił z gniazda cichym śpiewem na gałąź. Płci nie da się określić po wyglądzie, on i ona wyglądają tak samo. A to, że napotkana modraszka śpiewa, wcale nie oznacza, że jest samcem, jak sądziliśmy przez lata. Samiczki modraszek też śpiewają. Podobnie jak większość gatunków z podrzędu śpiewających (*Oscines*), do którego należą sikory.

Lipę z dziuplą za przystankiem wybrała ona i to ona zbudowała w niej gniazdo. Tę nietłwą decyzję



• Sikorka modra – od początku kwietnia przylatywała rano do dziupli, by złożyć jedno jajko

FOT. SHUTTERSTOCK

poprzedziło jednak wiele wspólnych inspekcji. Setki ruchów głową, spojrzeń i pisknięć. Od pierwszych dni kwietnia, codziennie – krótko po przebudzeniu – sikora przylatywała tu z dziupli noclegowej i składała jedno jajko. Białą kuleczkę o wadze grama: jednej dziesiątej wagi własnego ciała. Po złożeniu jajka (co zajmuje jakieś pół godziny) przykrywała je szalenie puchem i leciała żerować aż do wieczora. Przez dwa tygodnie złożyła od dziesięciu do piętnastu jaj – więcej niż waży sama.

Musiła wtedy sporo jeść. Nic więc dziwnego, że on towarzyszył jej cały dzień, proponując różne przysmaki, wśród których mogły być nawet fragmenty muszli ślimaka (zasobne w wapń potrzebny do budowy skorupki). Spali jednak w osobnych dziuplach. Dorosłe sikory się nie przytulają, są blisko tylko przez moment, kiedy samczyk przysiadł czy też lawiruje na niej sekundę-dwie i całują się delikatnymi zakończeniami układów rozrodczych.

Kiedy poczuła pod brzuskiem już dziesięć, a nawet i piętnaście białych pastylek (ile dokładnie, nie dowiemy się nigdy), rozpoczęła wysiadanie, które zakończyła raptem kilka dni temu. Ogrzewała zarodki temperaturą nawet 41 stopni Celsjusza, przez kolejne dwa tygodnie od momentu złożenia ostatniego jajka. Tym razem się udało. Ale przecież zdarza się, że ktoś przychodzi, wycina drzewo, które tak długo wybierała, albo krzewy, z których zbiera pokarm.

„I to wszystko pan tutaj zaobserwował? Za przystankiem?” – zapytała z niedowierzaniem starsza pani, której na przystanku Metro Świętokrzyska 03 opowiedziałem wiosnę w warszawskich sikor. Spodobało jej się na tyle, że zaczęła na następny autobus.

• Książka Michała Książka „Atlas dziur i szczelin” ukazała się 14 czerwca w wydawnictwie Znak

Świadomi wzajemnej obecności, dość długo czekamy razem. Znam dobrze tę wronę, to Sąsiadka. To pod jej gniazdem siadam, gdy obserwuję modraszkę z budki legowej. Szedłem za nią aż na mały trawnik otoczony krzewami tawuły. I spłoszyłem. Usiadła na klonie obok. Od razu obejrzałem miejsce, w którym drapała. Ostatnio znalazłem rozgrzebane mrowisko, jeszcze wcześniej kilka sta-

rych ziaren ryżu, ale tym razem niczego nie ma. Przysiadam więc na lawce i zerkam. Wrona wie, że ja wiem – że się domyślę. I czeka. Wokół toczy się słoneczny przedwakacyjny dzień, ale z jakiegoś powodu czuję lekki niepokój.

Kilka tygodni wcześniej na placu Defilad w biały dzień wrona siwa usiadła przed pięknym szczyrem. Sympatyczny gryzoń porzucił obwąchiwanie i choć zaskoczony, spojrzął bez strachu na ptaka. Wrona stała pewnie, zachowując jednak dystans ucieczki. Nie trwało długo, gdy drugi ptak wylądował na plecach szczura i jednym uderzeniem wielkiego dzioba (ostre narzędzie o długości czterech centymetrów) w potylicę albo podstawę czaszki za bił gapę. A potem obie zwyczajnie go zjadły.

Wrony polują nie tylko na szczury. Polują również na chore gołębie, podloty ptaków, nawet młode jeże. Pustoszą gniazda małych wróblaków, rozkopują mrowiska i dębują w martwym drewnie jak dzięcioły. W ekosystemie miasta odnajdują się więc doskonale.

Tymczasem moja Sąsiadka na klonie porusza się lekko, wciąż – jak czuję – nie spuszczając ze mnie wzroku. Odwzajemniam jej uwagę, wiedząc, że nie mam szans: ptaki potrafią ostro widzieć w trzech punktach jednocześnie, a do tego rejestrować ruch. Obserwuje mnie, patrząc w drugą stronę. Dziś rano widziałem inną siwuchę. Leciała z czymś czerwonym w dziobie i ukryła łup w kielichowatym rozgałęzieniu pędów klonu. Po czym odleciała. Może tu dzieje się coś podobnego? Postanawiam oddalić się nieco i z daleka czekać na rozwój wydarzeń.

W parku można czasem spotkać sympatyczną seniorkę z pieskiem. Kiedyś rzuciła psią karmę pupilowi, z czego, zachowując odpowiedni dystans, korzystała też dwie wrony. „Nazywam ją Wrosia, sama przylatuje na mój widok” – chwali się kobieta znajomością ze śmielszą z wron.

Coś podobnego zdarzyło się w parku Skaryszewskim. Panią Klaudię zwyczajnie wzruszył widok czterech wron siwych, jak jej się wydawało – głodnych. Podzieliła się więc z nimi fasolą z kanapki. Gdy przechodziła tamtędy następnego dnia, poczuła uderzenie w kieszeń, z której wczoraj wyjęła posiłek – wrona poznała ją i domagała się pokarmu. Trzy dni później, kiedy poszła je nakarmić, spotkała znajome cztery wrony, nad ciałem gołębia. Nie miał głowy. Nie wiadomo jednak, czy to one go zabiły.

W końcu Sąsiadka zlatuje na trawnik. W to samo miejsce, z którego ją spłoszyłem. Ruszam w jej stronę, nie spuszczając z oka czarnej głowy. Ptak podskakuje w rytm synkopy kilka razy w kierunku tawuły otaczających z trzech stron prostokąt trawnika. Siada na jednym z krzewów, z trudem łapiąc równowagę, i... ucieka na mój widok, choć jestem jeszcze daleko. Dostrzegła mnie z około trzydziestu metrów.

W miejscu, gdzie siedziała, znajdują gniazdko pokrzewki. Starannie uwity model dziury dopasowany do mieszkańców. Wewnątrz kuli się pięć piskląt przezroczystych niczym różowe żelki. Słońce dosłownie przez nie prześwieca. Już wiem, co rano inna siwucha chowała na gałęzi. Nagle coś kwili na ziemi pod gniazdem, dorosła pokrzewka, udając kulawą, ucieka przede mną, kusząc łatwym łupem.

Nie idę za nią, siadam na lawce. Wrona na klonie. Kiedy niemal dwie godziny temu się tu zjawiłem, jakoś nazbyt szybko czmychnęła z domniemanego mrowiska. Czyżby mnie poznała? Czy była to ta sama, którą spłoszyłem przedwczoraj znad podłota szpaka? Dosłownie wyjąłem go z jej dzioba.

Siedzę długo. Wiem, że jeśli odejdę, wrona zabije wszystkie pisklaki pokrzewki kapturki. I że nic nie da się z tym zrobić. Próbuję patrzeć na ptaki jak na strumień materii i energii, ale wciąż widzę jedynie pisklęta. Chciałbym być jak ten mężczyzna, który przykrył kurtką małego jeża, kiedy zaatakowały go dwie wrony przy Makuszyńskiego na Bielanach. Przykrył go ubraniem i odniósł w bezpieczne miejsce. Uległ złudzeniu, że takie istnieją. ●

4 czerwca, punkt zwrotny

Iwasiów



Poza marszem warszawskim 4 czerwca w Polsce odbyło się wiele demonstracji wyrażających poparcie idei i tradycji wolności.

Ludzi na ulice wyniosła wiara w możliwość zwycięstwa. Ogromne zgromadzenie miało miejsce na placu Solidarności w Szczecinie. Ludzie ściśle wypełnili tę charakterystyczną, amfiteatralną, dobrze oswojoną protestami Strajku Kobiet, KOD-u i Lambdy przestrzeń.

Wiele osób zmierzających na plac mówiło, że są tu, bo nie mogą być tam. Pospolite ruszenie warszawskie jest dobrą okazją, by przypomnieć, jak trudno dojechać ze Szczecina do stolicy, mimo że to zaledwie 566 kilometrów. Trwający od wielu lat remont trakcji kolejowej na różnych odcinkach wydłużył podróż do ponad siedmiu godzin, a pociągi rzadko bywają punktualne, więc jedzie się jak wołami.

LOT, monopolista na tej trasie, bo nie sposób poważnie traktować oferty konkurencji, łądującej w Modlinie, trzyma horrendalnie wysokie ceny. Nie jeżdżą od nas popularne gdzie indziej, tanie autobusy. Czwierć wieku temu podróżowałam do Warszawy porannym, punktualnym pociągiem. Był na miejscu po 11.00. Powrotny zaś startował o 16.00. Przez te parę godzin można było załatwić swoje sprawy – urzędowe, zawodowe, wszelkie. Gdyby istniało to połączenie, miałabym szansę wziąć udział w marszu, nie skubiąc czasu z dnia poprzedniego i następnego.

Oczywiście, transport został zorganizowany, nie wyliczam trudności, by pokazać powody swej absencji. Raczej szkicuję jeden z wątków raportu o stanie Polski, w kontrze do lejącej się z państwowej telewizji propagandy sukcesu, chętnie pokazującej zbudowane „za PiS-u” autostrady, kanały, tunele. Pomijają w tych wyliczeniach na

przykład stępkę ze Stoczni Szczecińskiej – przeobrażoną cudownie i symbolicznie z obietnicy promu w złom.

W drodze na plac pomyślałam, że nie musimy się tłumaczyć, a zwolane, czasem w ostatniej chwili, zgromadzenia w miastach i miasteczkach inscenizują ważną kwestię: choć wierzchołek władzy, nasze najważniejsze przedstawicielstwa znajdują się w Warszawie, żyjemy w regionach. Jakiś demokracji zależy od zrozumienia istoty oddziaływań i przepływów między centralą a powiatami.

Nieprzypadkowo Donald Tusk nazwał się, w najlepszej części swego przemówienia, Kaszebrą. Bycie kimś jeszcze, kimś nieoczywistym, kimś nieciosanym grubą, ujednolicającą siekierą propagandy stanowi cenioną we współczesnym świecie wartość. Tak więc ja, mająca 4 czerwca w sercu Polskę (choć wielu mnie z niej chce wyprasać), jestem też kobietą z tego przemieszczonego po wojnie plemienia, które zamieszkuje jedną trzecią Polski, zwaną niegdyś Ziemią Odzyskanymi. Potomkinią uchodźców, osiedleńców, mówiących różnymi wariantami języków europejskich.

Dobra, sprawiedliwa demokracja nie traci z oczu żadnego zakątka i jest z istoty swej koalicją włączanych we wspólnotę, zróżnicowanych podmiotów. Nie po to, by zwiększyć wyborczy potencjał partii, obiecując województwom inwestycje, a osobom zwiększanie świadczeń. Po prostu dlatego, że uratować nas może wyłącznie śmiała myśl o powszechnej sprawiedliwości, nie krótkoterminowy plan.

Jasne, musimy wygrać. Kim są ci, którzy muszą? Na placu Solidarności tłum najchętniej krzychał „wspólna lista”. Hipotetycznie za tę „wspólną listę” można by postawić coś innego, jakiś bardzo konkretny, dający się objaśnić regułą opisaną naukowo plan na wygraną. Nie wiem, co to mogłoby być, i nawet nie zamierzam udawać, że się znam na dynamice wyborczej. Znam się jednak na emocjach. Wyborcy opozycji są wściekli, gdy wyczuwają partyjniacki oportunizm, a tym pachnie brak jedności w obliczu realnej groźby wygranej obecnej władzy.

Jeśli PiS wygra – oczywiście nie chcę w to uwierzyć – wszystkie przygotowania do zrujnowania kraju i narzucanie dyktatury zostaną dokończono. Każdy z nas może w swoim życiu

codziennie obserwować nie tylko te wielkie, głośnie sprawy, jak ograniczanie niezawisłości sądów, wprowadzanie niekonstytucyjnych ustaw. Każdy zna kogoś, kto się uczy, choruje, próbuje znaleźć mieszkanie, otacza opieką osobę zależną. W tych i dziesiątkach innych kwestii państwo pozornie opiekuńcze chce w zamian za świadczenia ograniczać ludziom wolność. Roztacza aurę sukcesu wokół konkretnych dygnitarzy ze swego ugrupowania, jakby byli laskawcami, nie pracownikami organów państwowych.

Gdyby wzięli kolejną kadencję, rozpanoszą się do imentu. Przejmowali systematycznie nie tylko miodono-

wet polityków, od myślenia w koleinach krótkoterminowych, partykularnych celów. Bo potrzeba nam strategii na teraz, ale też przyjęcia, że polityka potrzebuje zmiany, uważanych jeszcze za utopijne idei, odwagi.

Jedna z młodych demonstrantek na placu Solidarności trzymała transparent: „8 lat w cyrku wystarczy”. Niech opowie o tym cyrku kolegom i koleżankom, jak i my możemy działać w mikroskali, dając przykłady z własnego podwórka – co i dlaczego nie działa, a co jest naszym niezbywalnym sukcesem i prawem.

A gdyby marsz z nas wyparował, poczucie sprawczości zamieni-

■
Ćwierć wieku temu podróżowałam ze Szczecina do Warszawy porannym, punktualnym pociągiem. Był na miejscu po 11.00. Powrotny zaś startował o 16.00. Gdyby istniało to połączenie, miałabym szansę wziąć udział w marszu

śne spółki, ale też kulturę, szkolnictwo, uczelnie wyższe. Stawiając, gdzie mogli, swoich lub narzucając wasalne prawo. Trudno będzie przenieść do następnego dziesięciolecia niezależność naukową, edukacyjną, twórczą – gdyby jesienią wygrali. A bez tej niezależności utracimy pion. Wszystkie pozytywne zmiany, jakie zaszły w mentalności społecznej w ostatnich latach (mimo reaktywowanych propagandą podziałów i odgrzewania rezydentów), przystopują. Chodzi na przykład o zrozumienie transpłciowości, praw kobiet, stosunek do uchodźców.

Oczywiście nie wygrają, 4 czerwca to punkt zwrotny. Wielki marsz i dobre, poważne ślubowanie Donalda Tuska – zwyciężymy, rozliczymy zło, naprawimy krzywdy, pojednamy się – mają potrzebną opozycji siłę emocjonalną. Siłę współtworzoną przez wszystkie osoby maszerujące w Warszawie i stojące twardo na ulicach swoich miejscowości. Emocje mogą przełamać impas, uwolnić nas, a na-

lo się w zniechęceniu, mam propozycję wyliczniki pragmatycznej: nadzieja jest lepsza od rozpacz, opór od oportunizmu, aktywność od rezygnacji. 4 czerwca działa przez powtórzenie pierwszego zwycięstwa, staje się punktem zwrotnym, zapowiedzią wygranych wyborów. Uwierzymy i zrobimy, co trzeba. ●

Inga Iwasiów

POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK &
RAFAŁ SKARŻYCKI

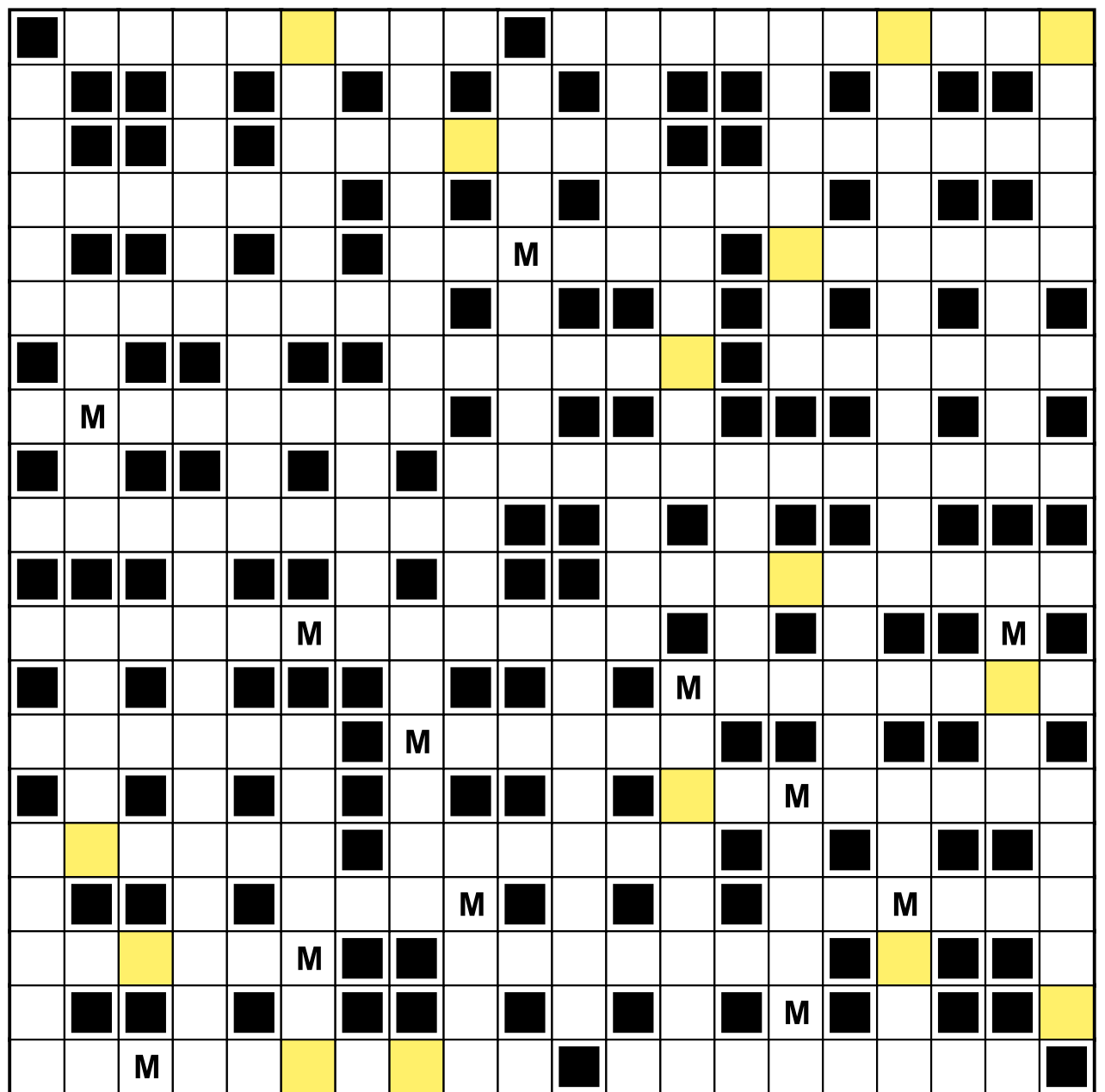


jolka

54

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery M. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- albo się go obleje, albo... trzeba to oblać!
- autor powiastki filozoficznej „Kandyd, czyli optymizm”
- bierki ustawiane w narożnikach szachownicy
- bunt Zebrzydowskiego
- „Całuję twoją dłoń, ...”, międzywojenny szlagier
- ... Del Rey, wykonawczyni piosenki „Video Games”
- drapieźna ryba morska zwana także skarpem
- дума tukana
- gotowy na połowy
- grzyby ochrony rządu
- imię Becketta, irlandzkiego pisarza („Czekając na Godota”)
- imię Hanuszkiewicza, aktora
- Jan Himilbach z zawodu
- Janusz, europoseł
- jednostka monetarna Nigerii
- jednostka natężenia prądu elektrycznego
- kanadyjska prowincja z miastem Winnipeg
- karuzela z ogniwami
- kogutek z rymowanych bajek Barbary Sudoł lub Czarny ..., twardy gość z piosenki Kultu „Celina”
- kontynentalne – serwowane w hotelowej restauracji
- Kosma i ..., synowie starego Kiemlicza („Potop”)
- kosmetyk o półpłynnej konsystencji
- likier w składzie tiramisu
- loskot, łomot
- meksykański „naczelnik”
- miasto na trasie Leszno – Wrocław
- miesiąc, którego staropolska nazwa to lżykwiat
- może być podrzędnie złożone
- na wuefie albo pałacowy
- najstarszy okres w dziejach Ziemi



- nazwisko autora powieści „Pies Baskerville’ów”
- nazwisko laureata Pokojowej Nagrody Nobla w 1983 r.
- niczym szef, gdzie chlew
- nimbostratus lub altocumulus
- ... Obojga Sycylii
- obywatel ... Brown, „adresat” wiersza Cypriana Kamila Norwida
- ogonowa, strzałkowa lub słoniowa
- Paragon, Mandżaro i ..., bohaterowie powieści Adama Bahdaja „Do przerwy 0:1”
- pradomator (i znów w grocie po robocie...)
- przyprawa dodawana do pierniczek
- ptak drapieźny z Pb
- puls
- rodacy Klausa Iohannisa
- ..., rozwinięcie, zakończenie (polonistka podpowie)
- smaczniejsze niż piwsko?

- sokalskie – w tytule fraszki Jana Kochanowskiego
- symbol Związku Polaków w Niemczech
- szkice literackie
- udomowione lamy
- ... Warszawskie, utworzone przez Napoleona I
- Wielka ..., przerażała pacjentów w powieści „Lot nad kukułczym gniazdem”
- wierzchnia szata księdza odprawiającego mszę
- ... Wilkes, mąż Melanii z powieści „Przeminęło z wiatrem”
- ... Williams, brytyjski piosenkarz („Feel”)
- właściwość wyroku, od którego już nie można się odwołać
- wyświechtana, można ją wyklepać
- zbrojna napaść, agresja
- złote monety bite we Francji od 1640 r. do początków XIX w.

Rozwiązanie z poprzedniego numeru: Kolegiata w Opatowie.

Rzędami: gluszec, chłopaki, Utgard, Iwowiak, ifryt, Ibadan, Artur, wstanie, Rzym, lekodziej, ornat, awiator, Psyche, Dęblin, Nanga Parbat, garden party, Tamiza, nowość, dotacja, lilie, fruželina, neon, erudyta, perły, Słowak, język, tajniak, awaria, kajdanki, ryngraf.

Kolumnami: Adyga, łowisko, Norwegia, Roberto, zmienna, Osetyjka, tantniś, cukier, Ćwieczek, zwinka, Ignacy, Radwańska, mutant, Ayrton, Ding Liren, Edward, gauczo, horoskop, nektar, szpital, oktaedry, iluzjon, hobbicy, karuzele, estrada, straż.

Miej oko na jolkę

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34182171

Redaktorka prowadząca: Ariadna Machowska. **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielasińska, Zuzanna Bukłaha, Piotr Gluchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Ariadna Machowska, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Szyto, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wójcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Piszą dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarniecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wleki, Ewa Wołkanowska-Kołodziej. **Grafik:** Łukasz Rudnikowski. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafał Wojciechowski. **Korekta:** Klaudia Smulska. **Adres redakcji:** ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa. tel. 22 555 46 37, e-mail: duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.